Nr. 14 (60) CENA 25 GR. ROK II

STER
ORGAN DLA SPRAW POLITYKI I KULTURY

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem
TOW. WYD. „STER"
Warszawa, Skrz. poczt. 113.
W. P. egz.

Biblioteka Jagiell. Stara Kasa

Adres Redakcji i Administracji:
WARSZAWA
CHŁODNA 17, TEL. 257-26
skrz. poczt. 113
KONTO P. K. O. Nr. 4.043

Godziny przyjęć: codziennie prócz sobót i niedziel — Redakcji i Administracji 11 — 14.

Rękopisów nie zwraca się.

TREŚĆ NUMERU:

Dr M. KLEINBAUM — To, co najważniejsze...
LEOPOLD HALPERN — Niewspółmierności
OUTSIDER — Intermezzo Daladiera
EMIL LUDWIG — Dokąd zmierza Roosevelt?
Inż. A. GLIZER — Ostatnia faza terroru
SAUL CZERNICHOWSKI — Taniec (wiersz)
Dr ESRIEL CARLEBACH — Osiem dni gwiazdora filmowego
J. BLEIBERG — Bóg Amenofisa i Mojżesza
MAURYCY SZYMEL — Wozy Faraona
SZ. AN-SKI — Wspomnienia o I. L. Perecu
Dr I. SCHIPER — I. L. Perec
WANDA KRAGEN — Jeszcze jeden dokument
STER MŁODYCH

17 kwietnia 1938 WARSZAWA 16 nisan 6985

Dr. M. KLEINBAUM

TO, CO NAJWAŻNIEJSZE...

Groźna sytuacja międzynarodowa nakazuje narodom i państwom rychłe uporządkowanie spraw wewnętrznych, by wszystkie siły móc skierować nazewnątrz. Jakkolwiek bowiem wojna światowa w dosłownym znaczeniu jeszcze się nie zaczęła, to przecież trwa już od lat kilku powszechna wojna polityczna o stanowisko, znaczenie, siłę, wielkość i kierunek rozwoju poszczególnych narodów i państw. W tych warunkach przejawia się wszędzie dążność do rządów trwałych i mocnych, a zarazem opartych na zaufaniu szerokich rzesz społeczeństwa. Siła dynamiczna państwa nazewnątrz pozostaje w prostej zależności od stopnia zwartości wewnętrznej i harmonii między ogółem ludności a rządem. W niejednym kraju stworzenie silnego rządu zaufania mas jest bodaj zadaniem pierwszym, najpoważniejszym, najbardziej nagłym.

Zadanie to stoi także przed Polską. Że obecna sytuacja wewnętrzno - polityczna Polski nie jest normalna, o tym świadczy choćby brak reprezentacji trzech masowych ruchów — nacjonalistycznego, socjalistycznego i ludowego — w ciałach ustawodawczych; o tym świadczą zresztą bezustanne wysiłki czynników decydujących do znalezienia drogi wyjścia z dekompozycji, z impasu. Jakież to możliwe są wyjścia? — Spróbujmy na to pytanie odpowiedzieć sine ira cum studio, z zachowaniem pełni realizmu politycznego.

1) Status quo. Czynniki rządzące same nie są z obecnego stanu rzeczy zadowolone. Podstawa społeczna rządów jest zbyt wąska. „Ozon" wciąż jeszcze jest in statu nascendi. W parlamencie z września r. 1935 nastroje nie są zbyt przychylne Rządowi, choć prawdziwym nastrojom opozycyjnym został wzbroniony wstęp przez wrota ul. Wiejskiej. Zresztą kadencja tego sejmu i senatu kończy się za dwa lata, trzeba więc pomyśleć o przyszłości. Dotychczasowa ordynacja „igielna" znów uniemożliwi masom opozycyjnym udział w wyborach, a nawet dla samych zwolenników regime'u stała się ryzykowna, bo obóz majowy nie posiada już więcej jednolitego kierownictwa na wzór prezydium B. B. W. R., które w 1935 r. dyrygowało nominowaniem kandydatów przez kolegia wyborcze. Pozostać zaś w ogóle bez przedstawicielstwa społecznego rządząca grupa nie chce ze względu na sytuację zewnętrzną i na silny rozwój opozycyjnych ruchów masowych wewnątrz kraju. Ani kraj nie chce dłużej „status quo", ani koła rządowe kurczowo nie zamierzają go się trzymać.

2) Nowe uczciwe wybory. Gdyby regime przyjął postulat lewicy demokratycznej o powszechnych i bezpośrednich wyborach parlamentarnych, toby walka o władzę potoczyła się pomiędzy lewicą demokratyczną a prawicą nacjonalistyczną. Ludzie obozu majowego twierdzą, że byłaby to hiszpanizacja życia polskiego. Na dnie zaś tej obawy leży przeświadczenie, że droga ta oznaczałaby likwidację wpływów kół dziś najbardziej wpływowych. Dla tego też nie zgadzają się na tę koncepcję.

3) Kompromis z endecją. Drogę tę obrał sobie pułkownik Adam Koc, gdy rozpoczął dzieło „konsolidacji" ozonowej. Pozyskał wprawdzie w ten sposób kilkuset oenerowców z „Falangi", którzy utworzyli „Związek Młodej Polski", ale wzamian począł tracić najwierniejszych legionistów i peowiaków. To też co rychlej zawrócono z tej drogi. Dzisiaj walka (prasowa) pomiędzy O. Z. N. a Stronnictwem Narodowym wre, a w Radzie „obozu zjednoczenia narodowego" wpływ rozstrzygający uzyskali pono „naprawiacze", zorientowani przeciwko endecji i jej wszelkim odmianom. Chwilowo na powrót do koncepcji p. Koca nie zanosi się.

4) Kompromis z ludowcami. Pragnął tego gorąco generał Tokarzewski. Chciałby zapewne też generał Skwarczyński. Program społeczny, gospodarczy i kulturalny O. Z. N. i ministra Poniatowskiego są dość zbliżone do programu Stronnictwa Ludowego. Natomiast na płaszczyźnie postulatów politycznych od pamiętnego zjazdu w Nowosielcach próba zbliżenia nie postąpiła ani o krok naprzód.

5) Kompromis z socjalistami. Pogłoski o trzech etapach demokratyzacji ustroju (samorządów gminnych, ubezpieczeń społecznych, ciał ustawodawczych) zostały przez pisma PPS zdementowane jako nieprawdziwe. W istocie rzeczy, pomijając różnice społeczno - gospodarcze, niełatwo będzie o porozumienie co do kierunku polskiej polityki zagranicznej. (Francja—Niemcy?) i narodowościowej. Ponadto nie zanosi się na porozumienie samej tylko PPS z piłsudczykami — bez udziału innych kół opozycyjnej demokracji polskiej, wokół PPS skupionych lub z nią sprzężonych.

6) Powrót do metod B. B. Ponieważ kompromis z żadnym z trzech masowych ruchów polskich nie wydaje się być realny, zrodzić się może koncepcja opanowania społeczeństwa „ponad głowami partyj". Należy sobie zatem uprzytomnić, że była to stara metoda BBWR, który wyrywał jednostki kierownicze z różnych środowisk, słabsze charaktery, aby imitowały „czynnik społeczny". Metoda ta nie przyniosła nigdy prawdziwego sukcesu Bezpartyjnemu Blokowi, nie przyniesie go więc chyba także Obozowi Zjednoczenia Narodowego.

7) Totalizm. W braku wyjścia na drogę pełnego porozumienia ze społeczeństwem myśl polityczna, po linii najmniejszego oporu krocząc, dotrze do totalizmu, a więc do zniesienia partyj i szeregu swobód obywatelskich, do podporządkowania całego społeczeństwa jednej woli kierowniczej, słowem — do dyktatury. Ale dyktatura wymaga spełnienia jednego nieodzownego warunku: musi się znaleźć dyktator. Marszałek Piłsudski miał wszystkie dane ku temu, by w latach 1926—1935 ogłosić się dyktatorem, a jednak pełnej dyktatury nie zaprowadził, bo Mu nie była potrzebna. Dziś nikt z wyższych dostojników państwowych, nikt z poważnych działaczy politycznych nie pretenduje do roli dyktatora w Polsce. A bez dyktatora nie może być dyktatury. Zresztą totalizm i dyktatura w kraju o tylu nierozwiązanych zagadnieniach socjalnych, o tak różnobarwnej strukturze narodowościowej, jak Polska, jest poprostu nie do pomyślenia.

A więc?

Status quo — nie, wybory — nie, kompromis z opozycją — nie, nawrót do B. B. — nie, dyktatura — także nie.

Impas.

Wyjście z tego impasu — oto najtrudniejsze, ale też najważniejsze zadanie Polski. Zadanie najpilniejsze — z uwagi na niebezpieczną sytuację polityczną Europy i świata.

Czytając jednakowoż przeciętną „narodową" gazetę polską, odnosi się wrażenie, że gdyby nie Żydzi, Polska w ogóle kłopotów by nie miała. Bo to u nas nie należy do dobrego tonu, żeby myśleć o tym, co najważniejsze.

Co najważniejsze, to nie „narodowe"...

LEOPOLD HALPERN

Niewspółmierności

Oto krótka, jasna, wymowna lista **niewspółmierności** w traktowaniu spraw mniejszości narodowych, które z całą jaskrawością zarysowały się na przestrzeni jednego tylko tygodnia:

1) **W Niemczech** istnieje **milionowa polska mniejszość narodowa.** W całej Rzeszy odbył się ubiegłej niedzieli plebiscyt w sprawie „Anschlussu", połączony z wyborami do Reichstagu. W Trzeciej Rzeszy skasowano demokrację i swobodę myśli politycznej. Wyborcy pozostawiono jedynie teoretyczną alternatywę odpowiedzenia „tak" albo „nie" na pytanie, czy zgadza się na przyłączenie Austrii do Reichu i czy zgadza się na jedyną listę kandydatów partii nacjonalsocjalistycznej z Adolfem Hitlerem na czele. Na oba pytania „wyborca" musi udzielić jednej odpowiedzi, wypisując kreskę w odpowiednim miejscu „kartki wyborczej".

Przy takim systemie „wyborczym" milionowa polska mniejszość narodowa nie ma możności głosowania na **własnych** kandydatów i wysłania do parlamentu **własnych** reprezentantów. Kandydaci polscy nie figurują na monopartyjnej liście hitlerowskiej, a własnej listy kandydatów (jak było za waimarskich czasów) nie wolno Polakom wystawiać. Cóż zatem mogą począć Polacy, jak się wobec wyborów zachować? Dotąd w podobnych okolicznościach stosowali abstynencję wyborczą, ale teraz chodzi przecież o „Anschluss", o sprawę pierwszorzędnej wagi dla reżymu, o coś, co może stać się „casus belli" wobec „nielojalnej" mniejszości. Nie dziwmy się więc zbytnio, czytając taką oto uchwałę: „Związek Polaków w Niemczech stwierdza, że ludność polska w Niemczech, wykonywując, jak zawsze, lojalnie obowiązki obywatelskie, wynikające z pozytywnego stosunku do interesów państwa jako całości, odda w dniu plebiscytu swe głosy na **„Ja"**." A więc **„Ja"** mniejszości polskiej na „Anschluss". Czy także na jedyną listę kandydatów Adolfa Hitlera? Czytamy dalej: „Na liście posłów do Reichstagu brak jest, z przyczyn od ludności polskiej w Rzeszy niezależnych, przedstawicieli narodowości polskiej." Dlatego: „ludność polska w Niemczech stwierdza, że w dniu 10 kwietnia 1938 r. została ponownie pozbawiona prawa brania udziału w wyborach pod hasłem wysłania do parlamentu Rzeszy Niemieckiej własnych przedstawicieli." Konkluzja: polskie kartki z kreską pod „Ja" oznaczają zgodę na „Anschluss", ale nie na listę kandydatów, na której nie ma Polaków. —

W Polsse istnieje **milionowa niemiecka mniejszość narodowa.** Od r. 1935 mamy w Rzeczypospolitej ordynację wyborczą, uniemożliwiającą wyborcom bezpośrednie wysuwanie list kandydatów na posłów, a zgromadzenia okręgowe aprobowały jedynie kandydatów partii rządzącej lub grup z nią współpracujących. W tych warunkach mniejszość niemiecka (w przeciwieństwie do stanu rzeczy, gdy w Polsce obowiązywała demokratyczna ordynacja wyborcza) nie mogła samodzielnie przeprowadzić swych kandydatów. Konstytucja przyznaje Prezydentowi Rzeczypospolitej prerogatywę mianowania 1/3 senatorów. — Pan Prezydent skorzystał z tego prawa także w imię zapewnienia reprezentacji mniejszości niemieckiej, mianując **dwóch senatorów Niemców.** Rezultat: w Reichstagu nie ma ani jednego posła polskiego — w Senacie Rzeczypospolitej zasiada dwóch niemieckich senatorów. A przecież zarówno kanclerz Hitler, jak i minister Beck tyle razy składali deklaracje o zasadzie stosowania **wzajemności** wobec mniejszości narodowych. Tak, w deklaracjach pełna wzajemność — ale w życiu: ogromna **niewspółmierność** pomiędzy stosunkiem do własnych mniejszości na obczyźnie, a ustosunkowywaniem do obcych mniejszości u siebie w domu.

2) Wybory do niemieckiego Reichstagu uwidoczniły znowu anomalię sytuacji politycznej, obywatelskiej i prawnej **wszystkich mniejszości narodowych w Rzeszy.** O trudnej sytuacji Polaków — właśnie pisaliśmy. Ale oprócz Polaków, mamy w Niemczech mniejszość żydowską, duńską i serbo-łużycką. Ustawy norymberskie pozbawiły mniejszość żydowską praw politycznych — monopartyjna praktyka Trzeciej Rzeszy uniemożliwiła także innym mniejszościom czynny udział w wyborach. W rezultacie także mniejszość duńska proklamowała abstynencję, motywując ją ostrożnie argumentem, że wybory i „Anschluss" — to sprawy wewnętrzno niemieckie. A więc w Reichstagu niemieckim nie znajdzie się ani jeden poseł mniejszościowy, a do urn wyborczych de facto nie pójdzie ani jeden nie-Niemiec (Polacy będą uczestniczyć jedynie w plebiscycie). —

W Republice Czechosłowackiej jest liczna mniejszość niemiecka. W parlamencie praskim mniejszość ta posiada najliczniejszą (!) frakcję poselską, a w radzie zasiadają ministrowie — Niemcy (!). Ale w Rzeszy mniejszościom jest... dobrze — w Czechosłowacji zaś stosuje się wobec mniejszości niemieckiej.... ucisk narodowościowy. Też niewspółmierność? Tak, ale zarazem coś jeszcze: cynizm polityczny tak oczywisty, że określilibyśmy go, jako wyraz niepowszedniej głupoty, gdybyśmy na własne oczy tylekrotnie się już nie przekonali, że wiosna 1938 r. cynizm taki najbardziej popłaca...

3) O sytuacji politycznej **polskiej mniejszości w Niemczech** mówiliśmy już w związku z sprawą wyborów — teraz poznajemy tę sytuację także z innych stron, opierając się na danych Światowego Związku Polaków z Zagranicy. W Niemczech jest około miliona Polaków. Na 130.000 dzieci polskich w wieku szkolnym do szkół polskich uczęszczało w r. 1934: 2958 (w latach następnych stosunek ten nie zmienił się wydatnie na lepsze). Nakład całej prasy polskiej w Rzeszy wynosił 28,550 egzemplarzy. Stronnictw politycznych Polacy w Trzeciej Rzeszy, oczywiście mieć nie mogą.

W Czechosłowacji jest około 200.000 Polaków, a więc prawie 1/5 liczby Polaków w Rzeszy. Do 104 polskich szkół **publicznych** uczęszczało w tym samym czasie 11,966 dzieci, do 77 prywatnych szkół polskich — 3,719 dzieci. 63 organy prasowe mają 102,304 czytelników. 3 stronnictwa polityczne liczą 15,396 zarejestrowanych członków. Ostatnio powstała masowa organizacja mniejszości polskiej p. n. „Związek Polaków w Czechosłowacji", która wysunęła hasła autonomii terytorialnej dla Polaków zaolzańskich. W parlamencie praskim zasiadają polscy posłowie.

O niedoli Polaków w Rzeszy mało ostatnio się u nas słyszy — o ucisku narodowościowym, stosowanym wobec Polaków zaolzańskich, jest coraz głośniej. Czy także tu nie występuje czasem **niewspółmierność?**

4) **Polacy zaolzańscy** wysunęli postulat autonomii narodowo-terytorialnej. **Ukraińcy w Polsce** od lat domagają się tego samego. W związku z tym wileński „Kurier Powszechny" informuje: „Prezes Związku Ukraińców w Anglii, Kissilewskij, na łamach „Times" w odpowiedzi na artykuł „Gazety Polskiej" w sprawie Polaków za Olzą, zestawia liczbę Polaków za Olzą z liczbą 6 i pół milionów Ukraińców w Rzeczypospolitej. Ukraińcom tym — jak twierdzi Kisselewskij — przyrzeczono w 1923 r. autonomię. Tymczasem minęło 15 lat, Ukraińcy zaś spotykają obecnie w Polsce trudności nawet, gdy domagają się praw podstawowych."

Przypuszczamy, że n. p. taki patriota polski, jakim jest p. poseł Wojciechowski ze Lwowa, autor słynnego „Szkoda haworyty!", rzuconego pod adresem Ukraińców, nie jest chyba przeciwnikiem przyznania autonomii narodowo - terytorialnej Polakom zaolzańskim. Czyżby więc znowu — niewspółmierność?

5) **Na Litwie jest mniejszość polska.** Na tle dotychczasowej anomalii w stosunkach polsko - litewskich mniejszości tej nie działo się dobrze. Nawet liczebność Polaków była tam kwestionowana. Oficjalna statystyka głosiła, że na Litwie jest 60,000 Polaków, ale gdy w państwie tym odbywały się jeszcze demokratyczne wybory parlamentarne, listy polskie zdobyły około 63.000 głosów, a rzeczywistą liczbę Polaków na Litwie kowieńskiej szacuje się na 200,000. Polska opinia publiczna jest czuła na los zaniemeńskich Polaków — i słusznie.

W Polsce jest mniejszość litewska. Do ostatnich czasów utrudniano działalność stowarzyszeń litewskich, stosując taktykę retorsji. Ostatnio, po nawiązaniu polsko-litewskich stosunków dyplomatycznych, wydawało się, że nowe wiatry powiały po obu stronach Niemna. Litwini wileńscy zgłosili władzom administracyjnym zamiar wydawania litewskiego pisma — władze jednak odmówiły, nakład pierwszego numeru uległ całkowitej konfiskacie. Litwini kowieńscy są chyba także czuli na los swych zaniemeńskich współbraci... W tym wypadku sprawa mniejszości nie doczekała się dotąd uregulowania po obu stronach Niemna.

6) **Mniejszość węgierska w Czechosłowacji** także należy do rzędu tych pokrzywdzonych a jej przedstawiciele w parlamencie także wysunęli postulat autonomii narodowo-terytorialnej. —

W Rumunii (w Siedmiogrodzie) także **jest liczna mniejszość węgierska.** W koszmarnych dla mniejszości żydowskiej dniach krótkotrwałych rządów Gogi i Cuzy — Węgrzy rumuńscy poparli rumuńskich żydów, rozumiejąc, że krzywda wobec jednej mniejszości musi ujemnie odbić się na położeniu innych mniejszości. —

Na Węgrzech jest mniejszość żydowska. Zjednoczona opozycja chrześcijańska w parlamencie i hitleryzujące grupy w kraju wszczęły ostatnio ostrą kampanię przeciw tej mniejszości. Partia rządowa odnosiła się dotąd z rezerwą wobec pomysłów eksterminacji żydów, nie tyle może ze względów filosemickich, ile raczej przez wzgląd na pozycję mniejszości węgierskich za granicą i racje polityki zagranicznej. Teraz jednak przeważyły racje wewnętrzno-polityczne i partia rządowa uległa presji opozycji na najłatwiejszym odcinku — na odcinku żydowskim. Do parlamentu budapeszteńskiego wpłynął już rządowy projekt „Ustawy w sprawie skuteczniejszej obrony równowagi społecznej i gospodarczej", mającej wprowadzić dwudziestoprocentowy „numerus clausus" dla żydów nie tylko w wolnych zawodach, ale także... w życiu gospodarczym (?)

Węgrzy w Czechosłowacji — żydzi na Węgrzech — **niewspółmierność...**

*

Niewspółmierność nigdy nie sprzyja sprawiedliwemu i pomyślnemu regulowaniu stosunków społecznych — stosowanie zaś jej na odcinku narodowościowym odbija się wprost zabójczo na położeniu mniejszości narodowych.

Warunkiem słusznego i trwałego rozwiązania sprawy mniejszości narodowych musi być stosowanie **równej miary** wobec wszystkich, bez żadnego wyjątku, mniejszości, wobec własnych mniejszości za granicą i wobec obcych mniejszości u siebie w kraju. Wszystko inne jest tylko grą polityczną, obliczoną na inne zgoła stawki, w której możni partnerzy posługują się mniejszościami niczem kulkami bilardowymi rzucanymi bezwolnie raz w jedną, raz w drugą stronę. Na dobre mniejszościom narodowym gra taka wyjść nie może.

WYDARZENIA I ODGŁOSY

Kryzys we Francji

Drugi gabinet Bluma, który był zarazem ostatnim rządem Frontu Ludowego, upadł. Obalił go, wbrew większości w Izbie Deputowanych, Senat, w którym przeważają wpływy elementów umiarkowanych i reakcyjnych. Ale nie tylko pod naporem zmobilizowanej reakcji francuskiej upadł ostatni rząd Frontu Ludowego — obaliły go, nie w mniejszym stopniu, wewnętrzne sprzeczności.

To przecież francuski rząd Frontu Ludowego konsekwentnie odmawiał pomocy hiszpańskiemu rządowi Frontu Ludowego, to przecież Leon Blum, w obawie przed wybuchem europejskiej pożogi, sprawił, że Francja była jedynym krajem przestrzegającym zasady nieinterwencji w Hiszpanii — mimo jawnej inwazji wojsk niemeckich i włoskich, mimo burzy protestów w szeregach Frontu Ludowego. A kiedy robotniczy i demokratyczny Paryż demonstrował przeciw Senatowi i w obronie stanowiska rządu, to właśnie rząd Frontu Ludowego rozkazał policji i wojsku rozpędzać manifestantów. Tak, sprzeczności wewnętrzne i brak konsekwentnej woli przeprowadzenia własnego programu obaliły rząd Frontu Ludowego.

Z upadkiem Bluma kryzys polityczny we Francji nie został zażegnany. Zadaniem chwili byłoby stworzenie rządu prawdziwej jedności narodowej i uchronienie Francji przed niebezpieczeństwem nadużycia tego słusznego hasła w imię odegrania się zjednoczonej reakcji. Daladier, polityk o wielkim charakterze i nie mniejszej przyszłości, oświadczył, że jeszcze nie nadeszła właściwa chwila osiągnięcia tej prawdziwej jedności narodowej. Obecny rząd Daladiera należy więc traktować, jako etap na drodze likwidacji kryzysu wewnętrzno - politycznego we Francji. Dalszego rozwoju wypadków nad Sekwaną demokracja na całym świecie oczekuje z dużą uwagą i z niemałą troską.

West-Fullham

West-Fullham jest jedną z dzielnic Londynu, zamieszkałą przez elementy drobnomieszczańskie i inteligenckie, a więc warstwy polityczne przejściowe, t.j. nie związane ani z prawicą, ani z lewicą. Dzięki temu okręg wyborczy West-Fullham uchodzi za czuły barometr nastrojów politycznych opinii publicznej, która w Anglii po dziś dzień pozostała czynnikiem decydującym w życiu politycznym.

W r. 1935, w czasie ostatnich wyborów parlamentarnych, odbytych w okresie konfliktu włosko - abisyńskiego, West - Fullham głosował konserwatywnie, wysyłając do Izby Gmin kandydata rządowego większością 18,461 głosów przeciw 14,978 głosów Labour Party.

Obecnie w West-Fullham odbyły się wybory uzupełniające, dając wymowny rezultat: kandydatka Labour Party, miss Edith Sumerskill uzyskała 16,953 głosów i zdobyła mandat — kandydat konserwatywny, Busby, dostał 15,162 głosów i przepadł. Wyborcy z West-Fullham udzielili więc wymownej odpowiedzi p. p. Chamberlainowi i Halifaxowi.

Pałac Westminsterski i Palais Bourbon

Głębokie wstrząsy polityczne, przez które Europa przechodzi w tych smutnych dniach wiosny 1938 r., znaczą się, niczem słupek rtęci na termometrze kwestii żydowskiej.

Oto niemal w tym samym czasie rozległy się antyżydowskie okrzyki w salach obrad dwóch najstarszych i najbardziej demokratycznych parlamentów na świecie: w angielskiej Izbie Gmin i w francuskiej Izbie Deputowanych. Prawda, wbrew zabarwionym tendencją relacjom naszej P. A. T., okrzyki te były zupełnie odosobnione i spotkały się z natychmiastową, ostrą reakcją ogółu posłów. Ale dotąd podobne incydenty i okrzyki stanowiły monopol parlamentu... rumuńskiego oraz najbardziej czarnosecinnych partii w innych sejmach — dziś dotarły nawet nad Tamizę i nad Sekwanę .

Jak to powiedział Teodor Herzl przed 42 laty? „Kwestia żydowska istnieje. Głupio byłoby ją negować. Istnieje wszędzie, gdzie żydzi żyją w znacznej liczbie. Tam, gdzie nie ma jej, przynoszą ją ze sobą imigrujący żydzi".

Okrzyki, które wyrwały się dwóm posłom w Pałacu Westminsterskim i w Palais Bourbon — nie są ostatecznie wielkim wydarzeniem. Ale w czasach rozstrzygnięć nie trzeba zamykać oczu nawet na najmniejsze objawy zbiorowych chorób. Mają one swoje znaczenie i wymowę.

Optymizm panów Strońskich

Naczelny publicysta „Kuriera Warszawskiego", p. St. St., jest w polityce zagranicznej zdecydowanym zwolennikiem orietacji na Francję, nie stara się nawet poskromić w sobie niepohamowanej radości z powodu zwycięstw generała Franco. Pisze: „Nad obozem czerwonym w Hiszpanii zawisł dzisiaj los ciężki i niewątpliwie będą się zgęszczały w najbliższym czasie wiadomości stamtąd nabrzmiałe grozą klęski i niedoli". A nieco dalej: „Klęska ich będzie zwycięstwem dobrej sprawy".

Nie dziwimy się panu St. St., że cieszy się zwycięstwem faszyzmu w Hiszpanii, przecież w swoim czasie życzył mu nawet, by przybył „z ziemi włoskiej do polskiej". Zwycięstwo faszyzmu w Hiszpanii nie będzie jednak tylko pokonaniem Azanii i Negrina przez genrała Franco, lecz zagrożeniem Francji przez Niemcy! Pan St. St. rozumie to doskonale, ale stara ratować się optymistycznym „jakoś to będzie". Pisze:

„Na jutrzejszą Hiszpanię pada też — to prawda — rozległy i zwarty cień wpływów obcych włoskich i niemieckich.

Mussolini nie tylko nie taił, lecz głośno obwieścił, w lecie r. ub., iż Włochy biorą udział czynny w wojnie hiszpańskiej i zwycięstwo będzie także ich zwycięstwem. A powodzenia wojsk włoskich w toku ostatniego uderzenia są wymieniane już w codziennych doniesieniach urzędowych z Salamanki. Lecz rokowania angielsko-włoskie kładą największy nacisk na wycofanie się Włoch z Hiszpanii

Ta zaś myśl znajdzie niewątpliwie najgorętsze poparcie kogoś bardzo duży wpływ mającego w tej sprawie: jenerała Franco.

Niemcy utworzyli sobie w Hiszpanii bardzo mocne lotniska. Wypróbowali swe samoloty i bomby zwłaszcza w nalotach na Guernikę i na Barcelonę. To jednak pewna, że wszelki zamysł utrzymania w ręku niemieckim tych lotnisk w pobliżu Francji południowej i jej połączeń z Afryką, oraz w pobliżu Gibraltaru i Morza Śródziemnego, byłby casus belli dla Francji i dla Anglii.

To dopomoże hasłu niechybnie najsilniejszemu w kraju po wojnie domowej: Hiszpania dla Hiszpanów."

Słowem: jakoś już tam będzie! My nie podzielamy optymizmu panów Strońskich i dlatego wieści z nad ujścia Ebra wcale nie napełniają nas radością.

Okno na świat

INTERMEZZO DALADIERA

O ZAWODZIE DZIENNIKARSKIM

Jeśli kto z P. T. czytelników lub czytelniczek niniejszego artykułu ma syna lub córkę, którzy właśnie kończą studia gimnazjalne i zastanawiać się będą przy biesiadzie lub obiedzie świątecznym nad wyborem zawodu, niech im posłuży rada doświadczonego człowieka i niech spośród długiej listy różnych zawodów skreślą jeden: dziennikarstwo.

Dziennikarz bowiem, to człowiek najbardziej zależny. Nie dość na tym, że zależy od kasy wydawnictwa, która zazwyczaj chce, a nie może; ta przykrość zresztą może go spotkać w każdym innym zawodzie. Ale dziennikarz zależy jeszcze od wielu innych kaprysów. Świetny felietonista francuski G. de la Fouchardiere tak oto ocenia sytuację swoją:

„Gdybym — powiada — był redaktorem naczelnym, byłbym uzależniony od moich finansistów i od czytelników pisma, w którym współpracuję. Ale będąc zwykłym współpracownikiem — nie mogę przemóc w sobie instynktu samoobrony. Jestem więc zmuszony respektować pewne ustalone zwyczaje, pewne uświęcone „tabu"...

(Oevre — 9.IV.38 r.)

Kłopoty i zależność dziennikarska są znacznie większe u nas w Polsce, z powodu istnienia pewnych instancyj, regulujących ruch myśli i pióra dziennikarza. Proszę wybaczyć, że tych instancyj nie nazwę, a to ze względu na spokój pana cenzora, któremu przy tej okazji życzę wesołych świąt.

Z powyższego należy wysnuć dwa wnioski: dla siebie — należy porzucić wszelką myśl o zawodzie dziennikarskim. A dla autora tej kroniki należy okazać jak największą pobłażliwość.

TEMPO!

A więc gabinet Leona Bluma padł. Senat, kierowany przez siedemdziesięcio letniego „koguta" Józefa Caillaux odmówił pełnomocnictw. Na miejsce rządu frontu ludowego objął władzę rząd centrowo-radykalny Edwarda Daladiera.

Rząd Daladiera objął ster władzy w sytuacji międzynarodowej, której tempo jest nadal zatrważające.

Rząd angielski, mimo iż Chamberlain oświadczył, że się nowych wyborów nie boi, poniósł dotkliwą porażkę podczas wyborów uzupełniających, gdy w konserwatywnym okręgu została wybrana kandydatka labourystowska. Jak zgodnie stwierdzają pisma, wybory te świadczą o symaptiach ludności angielskiej dla republikańskiej Hiszpanii.

Ta sama republkańska Hiszpania sprawiła rządowi angielskiemu nader niemiłą niespodziankę, gdy nie pozwoliła wojsku Franco zająć swego terytorium w przewidzianym terminie do 10 kwietnia po to, by umożliwić urzeczywistnienie układu włosko-angielskiego. Po za tym, te same wojska republikańskie, mimo zapewnień prasy, jak dotąd nie pozwoliły zająć pasa nadbrzeżnego, łączącego Barcelonę z Walencją i rozpoczęły zwycięską ofensywę na froncie madryckim i Estremadury. Jak donosi zgodnie prasa, rząd republikański otrzymał wielkie zapasy materiału wojennego, w tej liczbie 200 nowych samolotów.

„Przykrość" hiszpańska łączy się zresztą z przykrością, jaką tym razem Japonii sprawiają Chiny swoim marszem ofensywnym, jako też z „przykrością", jaką spotkała Włochy wskutek wszczęcia w tym tygodniu od nowa walk partyzanckich w Abisynii. Zarysowujący się konflikt sowiecko-japoński kryje szereg możliwości, z których wybuch wojny nie jest wyłączony.

W tej sytuacji dyplomacja hitlerowska węszy okazję dla nowego uderzenia, zaś jak zapewniają niektóre koła, Mussolini zamierza zapoczątkować w czerwcu nową akcję wojskową, dla uzgodnienia której przybywa do Rzymu Kanclerz Trzeciej Rzeszy. W ostatniej chwili Ciano miał oświadczyć, iż nawet po skończeniu wojny domowej nie wycofa swoich wojsk z Hiszpanii... Przemawiając w dniu 8 kwietnia b. r. w angielskiej Izbie Lordów, lord Faringdon oświadczył iż wokół angielskiego Gibraltaru są nadal budowane fortyfikacje.

„Umiejscowienie tam baterii — powiedział Lord Faringdon — nie wydaje mi się konieczne ze względu na toczącą się „wojnę domową". W chwili, gdy można było sądzić, że siły faszystowskie w Hiszpanii są skierowane na front wojny, mniemam, iż jest rzeczą niezmiernie poważną że powstańcy — albo ktoś, kto działa za ich plecami — dbał teraz tak bardzo o fortyfikacje wokół tak życiowego dla nas przejścia przy Gibraltarze. Mam wszelkie dane by sądzić, że władze frankistów nie mają tak pełnego zaufania do zapewnień włoskich, jak nasz rząd".

Wyścig do mety, którą będzie wojna — trwa. Pewne koła konserwatywne angielskie, jako też niektórzy politycy francuscy spod znaku Lavala — Flandina sądzą, że uda się jeszcze przeciągnąć Włochy, rozbić oś Berlin — Rzym. Qui vivra — verra.

INTERMEZZO PARYSKIE

Na tle tej oto sytuacji międzynarodowej, po odrzuceniu przez senat planu gospodarczego Leona Bluma stanął u steru władzy Edward Daladier, który będzie zmuszony oprzeć się na centrum, a już nie na lewicy. O naprężonych stosunkach między radykałami a ich kontrahentami świadczy wielki nagłówek „Populaire'a": „Na 94 senatorów, członków partii radykalnej i radykalno - socjalistycznej, na czele której stoi H. Daladier, tylko 24 głosowało za rządem, trzydziestu powstrzymało się i tyluż głosowało przeciwko".

Stąd jasne i jawne oskarżenie Daladiera o zakulisowe działanie celem przeszkodzenia rządowi Bluma. Partia socjalistyczn odmówiła udziału w rządzie, zaś poparcie rządu uzależniła od jego polityki. Jaką więc politykę będzie usiłował urzeczywistniać nowy premier?

Osoba Jerzego Bonneta świadczy o tym, iż w polityce zagranicznej będzie uczyniona próba zbliżenia, wślad za Anglią, z Włochami. Stąd w stosunku do Hiszpanii próba dwustronnych stosunków z Franco i Barceloną, przy dalszym zachowaniu nieinterwencji. W polityce wewnętrznej będą to rządy t zw. silnej ręki, próba likwidowania strajków robotniczych, puszczenia w zapomnienie przykrej sprawy C. S. A. R. V. — kapturowców, zwiększeniu pośrednich obciążeń mas.

Czy jednak Daladier będzie mógł wytrwać w tak zakreślonych ramach? Prawica i centrum w parlamencie poprą go, dla rozbicia jedności radykałów z lewicą. Może, za cenę ustępstw, mieć za sobą większość centroprawu. Ale już na terenie parlamentarnym napotka trudności, gdyż większość posłów radykalnych jest za kontynuowaniem bloku dotychczasowego.

Jeśli przejdziemy na teren po za parlamentarny, to jak słusznie zupełnie zauważył naczelny redaktor „Kuriera Warszawskiego" — ulica francuska jest przeciwna prawicy. De la Roque, Pozzo di Borgo, Doriot zostali w oczach mas skompromitowani. Nie ma na prawicy francuskiej siły dynamicznej, która mogłaby stanowić oparcie dla koncepcji centroprawu.

I tak samo, jak Chamberlain mając przytłaczającą większość w parlamencie związany jest nastrojami społeczeństwa, tak samo, i to w znacznie większym stopniu owe nastroje, owa dynamika lewicy francuskiej będzie wiązała wszelkie poczynania rządu paryskiego. Nie należy przypuszczać, by prezydent stronnictwa radykałów zechciał jako premier przeciwstawić się nastrojom mas.

Rząd Daladiera to więc intermezzo, które wkrótce musi skończyć sie, by ustąpić miejsca rządowi jedności i Ocaleniu Publicznego Francji z udziałem lewicy, centrum i umiarkowanej prawicy.

DA CAPO...

Należałoby jeszcze dokładnie zanalizować przyczyny krótkotrwałości rządów ludowych, przyczyny odejścia Leona Bluma i chwiejności władzy wykonawczej we Francji.

Ale tu proszę przeczytać ustęp początkowy o trudnościach wykonywania zawodu dziennikarskiego...

OUTSIDER

Wywiad generała Sikorskiego

Korespondent warszawski czołowego pisma jugosłowiańskiego „POLITYKA" (Belgrad) zwrócił się telefonicznie do generała Sikorskiego z prośbą o wywiad na temat aktualnej sytuacji politycznej w Polsce. Już w czasie tej krótkiej rozmowy telefonicznej odniósł wrażenie, że u drugiego końca drutu telefonicznego stoi człowiek, który wie, czego chce". Gen. Sikorski powiedział jugosłowiańskiemu dziennikarzowi:

„Jako oficer, będący jeszcze formalnie w służbie czynnej, muszę zachować rezerwę wobec zagadnień, jakie w pytaniach są poruszane. Nie mogę przeto udzielić wam żadnego wywiadu, chociaż wiem, jak poważne pismo reprezentujecie. Aby jednak moja odpowiedź nie była odmowna, pozwolę sobie na uwagę, z której możecie skorzystać i która odnosi się do zagadnień, jakie was zajmują".

„Życzyłbym sobie, — ciągnął gen. Sikorski — wyrazić wam moje głębokie przeświadczenie, że naród Polski wyjdzie jako zwycięzca z kryzysu, o jakim wspomnieliście. Nie moja to rzecz, abym tu wskazywał, jaką drogą to nastąpi i jak to naród poprowadzi. Naród polski przecież dysponuje tak silnymi rezerwami moralnymi, że ani na chwilę wątpić nie mogę o jego wielkiej przyszłości. Polacy nade wszystko kochają wolność. Chodzi o to, aby wolność ta była rozważna. Ona musi wytworzyć postawy silnego i trwałego rządu opartego na zaufaniu powszechnym i realnej odpowiedzialności, przed narodem. Na tej drodze Polska najbezpieczniej rozwinie swe siły naturalne i utrwali swą potęgę. To też najlepiej odpowiadać będzie wymaganiom obrony państwa."

Wywiad red. Niedziałkowskiego

Wywiad redaktora M. Niedziałkowskiego, udzielony współpracownikowi „KRAKOWSKIEGO KURIERA WIECZORNEGO", a zwłaszcza ta jego część, w której socjalistyczny przywódca pozytywnie ocenia wyniki audiencji PPS na Zamku, wywołały głośne echa w prasie polskiej i spotkały się z licznymi komentarzami. Za krakowskim pismem demokratycznym cytujemy odpowiedni ustęp wywiadu b. posła Niedziałkowskiego:

„Czy są jakieś pozytywne wyniki wizyty PPS u Pana Prezydenta na Zamku, czy ostatnie wynurzenia Pana Prezydenta przeciwko totalizmowi pozostają w związku z rozmowami PPS na Zamku, o czym niedawno pisał p. Cat-Mackiewicz w „Słowie" wileńskim?

Poseł Niedziałkowski zaskoczony tym pytaniem, chwilę się zastanawia, i zwolna, ważąc dokładnie każde słowo, rozwija swą myśl:

— Nasza rozmowa z P. Prezydentem Rzeczypospolitej miała jeden wynik pozytywny bezspornie; następne kroki Głowy Państwa (rozmowy z szeregiem różnych ugrupowań) potwierdzają moje wrażenie: p. Prezydent uznał, że zasięg ugrupowań, odpowiedzialnych za Państwo we własnym swoim sumieniu, nie ogranicza się do obozu „sanacyjngo" i do tych odłamów dawnego O. N. R., które p. pułk. Adam Koc „skonsolidował" z Obozem Zjednoczenia Narodowego. Mam na myśli grupę „Falangi". Uważam stwierdzenie tego faktu za wynik istotnie pozytywny dla... Rzeczypospolitej.

Co się tyczy ostatniego przemówienia publicznego p. Prezydenta Rzeczypospolitej, wydaje mi się, że wyraża ono, gdy mowa o „totalizmie", pogląd p. Prezydenta, przemyślany oddawna. Nie mogę tego uważać za „wynik" naszej wizyty na Zamku. P. Prezydent już wtedy ocenił „totalizm" bardzo surowo i bardzo negatywnie w zasadzie; ocenił — moim zdaniem — najzupełniej słusznie."

Z KARTY ŻAŁOBNEJ.

b. p. ELE-ARON KIRSZENBAUM

W Lublinie zmarł znany przemysłowiec i działacz społeczny b. p. Ela-Aron Kirszenbaum. Zmarły przez szereg lat piastował urząd prezesa Rady Gminy Żydowskiej w Lublinie, był długoletnim radnym miasta, jak również prezesem kilku instytucji filantropijnych, które Zmarłemu zawdzięczają swe powstanie.

B. p. Ele-Aron Kirszenbaum odznaczał się wyjątkową szlachetnością charakteru — to też cieszył się ogólną sympatią i poważaniem.

Zmarły osierocił liczną rodzinę. Jednym z Jego synów jest p. Menachem Kirszenbaum, b. członek Komitetu Centralnego Organizacji Syjonistycznej w Polsce

Szlachetnej pamięci Zmarłego — cześć!

Dnia 8-go kwietnia (7 nisan) zmarł w Warszawie, po długich i ciężkich cierpieniach przeżywszy lat 69

b. p. ELE-ARON

KIRSZENBAUM

(przemysłowiec)

B. radny m. Lublina, b. prezes rady Gminy Żydowskiej w Lublinie, b, prezes szeregu instytucji społecznych i religijnych.

ŻONA, CÓRKA, SYNOWIE, SYNOWE, ZIĘĆ, SIOSTRY, WNUKOWIE I RODZINA.

EMIL LUDWIG

Dokąd zmierza Roosevelt?

Było to w ogrodzie pod starą jabłonią przy piwie i jednej z tych zagadkowych sałatek, które wystawiają na ciężką próbę sympatie Europejczyka. Prezydent mówił mi o mieszaniu się ras jako o środku na ich udoskonalenie. Umie zaś Roosevelt opowiadać, nie narzucając swej władzy; a że ze wszystkich mężów stanu, jakich znałem, ma najmniej pretensji, by się podobać, — nie płoszy się więc, gdy mu ktoś przerwie, przeciwnie — stara się to w uprzejmy i właściwy mu sposób naprawić. Nigdy nie spotkałem u ludzi, którzy mają władzę, takiego połączenia wdzięku i godności, dwóch pojęć, które Schiller chciał przyswoić Niemcom, ponieważ one tak rzadko u nich występują.

„U nas — mówił Roosevelt — jakaś rodzina jedzie autem do parku Yellow-



stone. Ojciec Polak, matka Włoszka, a syn pozna w drodze Irlandkę, która miała może dziadka—Francuza, pokocha ją i założy nową rodzinę. To jest amerykańskie mieszanie się ras. Jeżeli się je sławi miast zwalczać — ułatwia się tym porozumienie. Gdy się próbuje przeciwdziałać, mnożą się przyczyny przyszłej wojny."

Antysemityzm jest Rooseveltowi tak obcy, jak niegdyś mężowi stanu lub myślicielowi, pochodzącemu z barbarzyńców. Dwaj najbliżsi jego przyjaciele to Żydzi. Jednemu z nich powierzył skarbowość. Kiedy w marcu 1935 jakaś gazeta spytała, czy u Roosweltów można znaleźć domieszkę krwi żydowskiej, odpisał, że odkąd mieszkają w Ameryce, nie ma żadnego żydowskiego przodka, a co było przedtym — nie wie: „Mogli sobie być żydami, katolikami lub protestantami. Interesuje mnie tylko to, czy byli good citizens and believers in God. Mam nadzieję, że byli jednymi i drugimi."

W jakichś sześciu mowach Prezydent występował przeciwko formom państwowym, które rządzą narodami bez parlamentu i wolności prasy drogą przymusu i strachu. Jedyną dyktaturą, do której Roosevelt się zbliżył chociaż nie miała jeszcze parlamentu, jest dyktatura rosyjska.

O ile musiał zdecydowanie odrzucić jej system, o tyle jednak uznał podobieństwo sytuacji obu narodów i od chwili objęcia swego urzędu postanowił doprowadzić do ich pojednania. Zajmował Roosevelta ogromny kraj, obdarzony wszelkimi bogactwami naturalnymi.

Forma, w której Roosevelt napisał w październiku 1933. do prezydenta Kalinina, wolna była od wszelkiej dyplomatycznej przesady i ducha naszych poselstw, wciąż jeszcze lekko oszołomionych perfumami rokoko. Przez szesnaście lat gniewano się, a teraz, gdy otwiera się tak szerokie pole dla demarche'ów i protokółów wstępnych dla ludzi, którzy nic nie mają do roboty, dla dyplomatów — cóż robi Roosevelt? Pisze po prostu miły list do nieprzyjaciela: zaczyna od słów: „Mój kochany Panie Prezydencie!" i tłumaczy, że nonsensem byłoby, gdyby 160 milionów Rosjan i 125 milionów Amerykan, dawniej zaprzyjaźnionych, odseparowywało się teraz od siebie. „Jeżeli Pan jest tego samego zdania, będzie mi bardzo miło przyjąć wizytę któregokolwiek wyznaczonego przez Pana przedstawiciela, z którym moglibyśmy osobiście zbadać wszystkie kwestie, zawisłe nad naszymi krajami."

Po paru miesiącach wszystko było w porządku. Rosjanie przyrzekli zapłacić część swoich długów, ale do sojuszu nie doszło.

Przyjaźń ta ma swoje naturalne, geograficzne podstawy, gdyż oba państwa widzą wspólnego wroga w Japonii. Pierwszy lotnik, który przeleciał przez biegun północny z Moskwy do San Francisco, był symbolem. Uznanie Rosji przez Stany Zjednoczone było jednocześnie odpowiedzią na aneksję Mandżurii przez Japonię. Po tym, jak fala protestów sekretarza stanu Stimsona wypędziła Japonię z klubu genewskiego, Roosevelt wszedł na inną drogę, zostawił Japończyków w spokoju, rozbudował swą flotę i lotnictwo i zawarł pokój z Rosją.

Roosevelt nie raz osobiście motywował swą antywojenną politykę. „Nie naprózno — powiedział w swej mowie z sierpnia 1936 — przeżyłem wojnę. Widziałem ją na lądzie i na wielkim morzu w całej okropności: rannych, którzy kaszląc wypluwali płuca, zniszczone gazem, trupy w brudzie, spalone miasta. Widziałem, jak wracało z frontu dwieście postrzelonych kalek, pozostała przy życiu reszta regimentu, który przed czterdziestoma ośmioma godzinami wyruszył był z tysiącem ludzi. Widziałem dzieci, umierające z głodu i śmierć matek. I dlatego nienawidzę wojny." Ale nie tylko ze względów sentymentalnych, lecz także z racjonalnych i filozoficznych występuje Roosevelt przeciwko apoteozowaniu wojny:

„Światu zagraża dziś niezgoda i nienawiść rasowa wskrzeszonych, fanatycznych nauk... Za zniszczeniem wolnego handlu międzynarodowego musi przyjść wojna... Na dostawach wojennych tylko niektórzy ludzie mogą zrobić majątek; dla narodu jako całości są one fatalne. Żądza zysku wojennego kazała naszym farmerom na zachodzie zamienić na rolę uprawną prerie, których nigdy nie trzeba było orać, gdyż konieczne są jako pastwiska dla bydła. Dziś zbieramy owoce tych tak zwanych zysków wojennych w formie burz piaskowych, które niszczą te połacie kraju. Pragnienie zysków wojennych także wzmocniło monopole i podwyższyło ceny do poziomu, który uniemożliwiał wszelką równwagę między dłużnikami a wierzycielami... Wszystko to uczyniła żądza pieniądza, pieniądza prawdziwie błazeńskiego!"

W Buenos Aires znalazł Roosevelt klasyczne sformułowania dla obalenia nowego dogmatu niemieckiego. Powiedział bowiem: „słyszymy dziś twierdzenia, że nowe rynki otwierają sie tylko wtedy, gdy się je zdobywa... Widzimy też, że świętość układów między narodami straciła na znaczeniu... Te narody, które przyjmują na siebie winę za takie głupstwa, przyśpieszają niechybnie dzień, w którym będą musiały skierować swą niszczącą broń na sąsiadów albo patrzeć, jak ich chorobliwa gospodarka przewraca się niczym domek z kart."

Już jako gentleman musi Roosevelt odrzucać wszystko, co związane jest z dyktaturą: brak wolności, musztrę wojskową, posępną pozę. Dlatego też pociągają go: Anglia i Francja, których kraje i języki poznał w młodości, z których politykami i oficerami utrzymywał w czasie wojny światowej bardzo przyjazne stosunki. Niemcy są mu tym bardziej obce, że zamknięte jest przed nim wielka spuścizna Wiecznych Niemiec: Goethe i muzyka. Włochów zdaje się znać jeszcze mniej.

Przecie nie brakło mu rozczarowań: Francuzi, którzy nie płacili długów, stawali się natychmiast niebezpiecznymi konkurentami w Południowej Ameryce; Anglicy pod Mac Donaldem, szczególnie podczas konferencji Londyńskiej. Roosevelt wprowadził ustawę, na mocy której nie można udzielić pożyczki żadnemu państwu, które ma jeszcze jakieś długi wobec Ameryki. Nie dał się też skłonić do wysłania swojej floty przeciwko Japończykom w celu umocnienia na wodach europejskich stanowiska Anglii, która w zamian za to ofiarowywała swoją bazę w Singapore.

A jednak nie przypadkowo wygląda jak Anglik. Osobiste uczucia i logika polityczna wiążą Roosevelta z Anglią. Mąż, który myśli kategoriami części świata, musi sobie życzyć utrzymania ostatniej Ligi Narodów, chyba że jest Japończykiem lub Włochem. Żadna wojna europejska nie może w najbliższych dziesiątkach lat uczynić ze Stanów Zjednoczonych przeciwnika Imperium Brytyjskiego nawet gdyby przyjaźń obu narodów straciła punkt oparcia, na którym się znajduje obecnie.

Roosevelt zdecydowany jest udzielić pomocy w wypadku zaatakowania Kanady. Lindley opowiada, jak Roosevelt pytał o to swych przyjaciół i jak wszyscy gotowi byli bronić Kanady. A Australię? — „Leży ona w odległości ośmiu tysięcy mil" — powiedział jeden. Tak, w Stanach Zjednoczonych spotyka się więcej sympatii dla dominiów, niż dla samej Anglii. Wiadomą tam jest rzeczą, że podczas przyszłej wojny Japończycy mogliby zabrać Australię, Nową Zelandię. Od tej przyjaźni jednak do przymierza orężnego prowadzi jeszcze daleka droga i czynny udział Ameryki w przyszłej wojnie dziś, z początkiem roku 1938, jest rzeczą wielce wątpliwą. Prawdopodobnie Stany Zjednoczone dostarczą demokratycznym państwom europejskim wszystkiego, prócz swoich oddziałów.

Stanowisko Roosevelta wobec wydarzeń wywodzi się z wielkiego przeżycia, jakim był dlań Wilson. To przeżycie też ostrzegło go przed naśladowaniem metod Wilsona. Ponieważ Roosevelt pozbawiony jest afektacji wielu Amerykan dla młodego narodu i „państwa pionierskiego" i, będąc już przy władzy, mówił o Amerykanach, jako o starszym narodzie; ponieważ swoją rewolucję socjalną opiera w zupełności na przeobrażeniu świata dzięki technice, bardziej niż przeważająca część jego współziomków odczuwa związek między częściami świata. Wszystko to czyni zeń przyjaciela Ligi Narodów, choćby nawet nie w obecnej postaci. W 1932 r. powtórzył w zasadzie to, czego nauczał w 1920, jeżdżąc po kraju jako wieszcz Wilsona — „Wciąż jeszcze jestem za naszym wstąpieniem do Ligi Narodów, próbowałbym nawet jeszcze dziś zwalczyć opozycję. Obecna Liga Narodów nie jest jednak tą, o której myślał Wilson. Ale mogłaby się nią stać po wstąpieniu Stanów Zjednoczonych." Przy innej sposobności nazwał Ligę Narodów filarem gmachu pokoju światowego i w pierwszych miesiącach w Genewie zaproponował, by Liga objęła nadzór nad wszystkimi zbrojeniami, zniosła broń napastniczą i zagwarantowała pokój. Najchętniej zezwoliłby każdemu państwu tylko na tę broń, którą jeden człowiek może unieść na plecach.

W międzyczasie próbował Roosevelt wzmocnić Ligę Pan-Amerykańską i słowem „o dobrym sąsiedzie", które przez lata całe powtarzał, przeciwdziałać brakowi zaufania ze strony dwudziestu republik przeciwko jednej — najpotężniejszej. Robił to zaś z tym większym przekonaniem, że wysiłki pacyfistów w Genewie i Londynie w pierwszym roku spełzły na niczym. Niewiadomo też, czy Roosevelt tak zdecydowanie zorientowałby swój kraj na Południową Amerykę i Rosję, gdyby nie objęcie władzy przez Hitlera. Roosevelt szedł dalej drogą dobrego sąsiada, ale oznajmił od razu na początku, że nie będzie tak, jak jego poprzednik Theodor, chronił własności swoich współobywateli w Ameryce Południowej.

I to jest ton, którym można pozyskać sobie ludzi. „Jako obywatelowi innej republiki — powiedział w końcu 1933 roku — byłoby mi bardzo trudno rzeczywiście uwierzyć w altruizm najbogatszej republiki amerykańskiej... lub uznać za słuszne obsadzenie obszarów innych republik jako środek przejściowy". W myśl tego uzasadnienia po dwudziestu latach wycofał oddziały z Haiti i uniknął gwałtownego rozprzężenia w Kubie. Z podobnych pobudek uwolnił Filipiny i wypowiedział przy tym przed kongresem piękne zdanie: „Nasz naród nie pragnie żadnych obszarów. Nie chce utrzymywać władzy, zdobytej przez wojnę, nad żadnym narodem wbrew jego woli." Słowa, które przechodzą do historii na chwałę Ameryki.

Stanowisko to nie jest tradycyjne. Zgadza się z nim sekretarz stanu, a nowy podsekretarz, największy ekspert w sprawach Europy Środkowe, potrafi mu dostarczyć personalii w prawdziwie klasycznej formie. Ma natomiast Prezydent zaciętego, niemego przeciwnika w części swego własnego ministerstwa spraw zagranicznych, którego członkowie są wprawdzie również nastawieni proangielsko, ale — jednocześnie też antyrosyjsko.

Z tak wielu prądów rozwinęła się niezrozumiała i pozornie nierównomierna polityka neutralności Roosevelta. Między rokiem 1933 o 1938 polityka wahała się i będzie się wahać jeszcze nadal, gdyż chce uchronić Stany Zjednoczone przed przyszłą wojną, jednocześnie jednak tej wojnie zapobiec.

Powstaje stąd antynomia, która zmusza Prezydenta, by ostrzegał państwa agresywne, że Ameryka znajdzie się wśród ich nieprzyjaciół, i jednocześnie nie przerażał swych współobywateli żadnym przyrzeczeniem pomocy zbrojnej dla państw demokratycznych. Jest to wąska ścieżka, która prowadzi pomiędzy groźbą a bluff'em. Ścieżka ta nie może być prosta.

Polityka socjalna Roosevelta od początku zwracała się przeciwko międzynarodowym bankierom i fabrykantom broni, których niecierpiał. „Musimy się strzec" — powiedział w swoim programie na rok 1936 — „przed tym, by międzynarodowe banki nie wciągnęły nas w wojnę, musimy też zabrać przemysłowi wojennemu zysk."

Już w drugim roku poparł akcję dzielnego senatora Nye i zawsze podkreślać się będzie w historii Franklina Roosevelta, że za jego rządów najpotężniejszy bankier współczesny, spadkobierca J. P. Morgana, stanął przed komisją, by usprawiedliwić swoje stanowisko wobec zysków w czasie wojny światowej. Na to, by go rzeczywiście postawić przed sądem, było jeszcze w Ameryce za wcześnie. Papieros, który możny pan lubił palić przed komisją, przeszedł jednak do historii. Trzeba zajrzeć w tajniki spraw pewnego sławnego senatora, by zrozumieć dlaczego się szybko cofnął, gdy zobaczył na komisji papieros Morgana. Warto zaś poznać następujące tu zdarzenie, by wykazać związek między międzynarodowym towarzystwem, które bogaci się na wojnie.

W decydującym momencie komisja zażądała wtedy od Domu Bankowego Morgan, by nazajutrz z rana przedłożył pewne papiery z czasu wojny. O dziesiątej z rana jednak ministerstwo spraw zagranicznych interweniowało w Waszyngtonie. Morgan potrafił poprzedniego wieczora tak nastraszyć ministerstwa w Paryżu i Londynie, że obaj ambasadorowie z rana udali się do sekretarza stanu z prośbą o interwencję dla Domu Morgan „z ewzględu na ważne interesy państwowe". Spoczywającemu na złocie smokowi wystarczyło zagrzmieć telefonicznie, a już wystraszono świętego Jerzego.

Ponieważ nie dało się nic zrobić wstecz, Roosevelt próbował działać na pszyszłość: stąd rozporządzenie, że żaden przemysł wojenny nie może zarabiać więcej niż 3%, a żaden dyrektor więcej niż osiem tysięcy dolarów: w przeciwnym razie grozi mu na wypadek wojny karne wysłanie na front. Jednocześnie próbował Roosevelt wprowadzić kraj swój do Trybunału w Hadze, ale ten projekt upadł zaledwie 3 głosami w senacie. W ten sposób przepadła wielka okazja, gdyż dzięki sprawozdaniom z tego trybunałh opinia amerykańska przy zręcznej propagandzie byłaby się powoli zaczęła życzliwie odnosić do projektu wstąpienia do Ligi Narodów.

Kiedy podczas wojny abisyńskiej wyłoniła się kwestia dostaw wojennych, konflikt w duszy Amerykanina ujawnił się zupełnie wyraźnie. Przypomina więc w kwestii wojny europejskiej podlotka, który za żadną cenę nie chce się dać pocałować, ale przy tym tuli się troszeczkę do młodego człowieka. Z tym uczuciem Prezydent musiał się — przynajmniej dotychczas — liczyć. Zabraniając eksportu broni dla stron wa
czących, robi więc jednocześnie w sie
pół tuzina dziur. Pierwsza nazywa si
handel na własne ryzyko jest dozwol
ne. Druga: Surowce są dozwolone. Trz
cia: Normalne dostawy pokojowe
dozwolone. Czwarta: Dostawy dla i
nych neutralnych państw są dozwolor
Piąta: Materiały spożywcze i lekarst
są dozwolone. Szósta: Nie mamy
wspólnego z waszą wojną, ale wesp
z innymi, podobnie nastawionymi pa
stwami chcemy działać dla pokoju. K
dy się czyta treść pertraktacji, prow
dzonych przez Roosevelta i Hulla z pr
mysłowcami przychodzi na myśl gron
da upartych dzieci, które próbują w
prosić u naczyciela wolną od nauki
dzinę.



Wtakiej sytuacji Roosevelt nie
że postępować tak, jakby chciał. Z
czątkiem 1936 roku zebrał to w dw
zdaniach: „Polityka rządu zwróc
jest definitywnie w kierunku utrzy
nia pokoju i uniknięcia wszelki
mieszania się. Jednocześnie polit
rządu chce w każdy pokojowy sposó
współpracować z innymi podobnie m
lącymi rządami nad stworzeniem
koju."

Oczywiście poklask zdobył sobie
czej ten senator z Kalifornii, kt
przyjmując pozę bohatera, oświadc
przed narodem: „Jesteśmy w świe
mocarstwem, jesteśmy dość silni, b
każdym innym neutralnym państw
prowadzić handel! Tu „bawełniani i
jowi" senatorowie poczuli się urażeni
z trudem tylko znaleziono kompro
w ustawie, która przynajmniej wzi
w ochronę Południową Amerykę, zab
niła pożyczek na rzecz stron walczący
a jednocześnie pozwoliła Prezydent
umożliwić obywatelowi handel na w
ne ryzyko.

Pod takim naciskiem stanowis
Roosevelta wobec przyszłej wojny w c
gu dwóch lat rozwinęło się w wiel
crescendo. Mówią o tym przede wszy
kim trzy mowy:

Styczeń 1936: Izolacja, kontrola p
ducentów broni. Grudzień 1936: Mo
w Buenos Aires przed Pan-Amerykę
„Narody Ameryki nie mogą unikn
skutków nawet najbardziej oddalon
wojny... Czy możemy przyjść z pom
cą staremu światu? Ja osobiście wi
rzę, że tak." Dalszy krok przeciwko ne
tralistom.

Październik 1937, Chicago: Niech
nikt nie wmawia w siebie, że Amery
się wymknie. Potrzeba nam zjednocz
nych wysiłków w celu postawienia op
ru owemu łamaniu traktatów i dzisie
szej anarchii, której nie da się unikn
li tylko przez izolację i neutralność. N
rody, miłujące pokój, muszą uczyn
wspólny wysiłek. Kiedy wybucha epid
mia, społeczeństwo żąda, by choryc
wzięto do kwarantanny, gdyż chce
ten sposób zapobiec szerzeniu się zł
Wojna jest zaraźliwa nawet wtedy, gd
jej jeszcze nie wypowiedziano. Moż
ona objąć państwa i narody, które zna
dują się bardzo daleko od jej pierwo
nego terenu."

Zerwała się burza przeciwko Prezy
dentowi. To jest nowe oszustwo — ta
jak wtedy, gdy nazywało się, że wojn
światowa położy kres wszystkim wo
nom. Tylko mniejszość uznała cel i se
mowy. Dopiero ostrzeliwanie okrętu n
Yangtse podziałało; odpowiedź Rooseve
ta była pierwszym uderzeniem w bębe
orkiestry demokratycznej. A jednak ni
wielu tylko Amerykanów wie, jak pa
niczny jest strach Niemców przed broni
i dolarem amerykańskim. Reszcie bo
wiem zdaje się, że wygraliby wojn
światową i bez pomocy dolara i bron
Nie wielu tylko pojmuje, że dyktatur
można zwalczyć jedynie przez opór,
nie przez ustępstwa. Trzy zdania, wła
nie te trzy zdania Roosevelta stanowi
ostatnią możliwość odstraszenia państw
agresywnych, które w myśl praw dyk
tatury szukają w wojnie ratunku przed
wewnętrznymi trudnościami.

Wobec pojawienia się w ostatnich czasach na rynku wielu naśladownictw, łudząco podobnych pod względem nazwy, wyglądu i opakowania do Towarów Widzewskich, prosimy przy zakupach zwracać baczną uwagę na nasze niżej podane marki fabryczne.

Celem umożliwienia konsumentom łatwiejszego odróżniania falsyfikatów od oryginalnych towarów widzewskich, zaopatrujemy obecnie nasze wyroby w dodatkowy stempel: „W I M A".

Przy tej sposobności polecamy raz jeszcze nasze specjalne, b e z k o n k u r e n c y j n e w całej Europie gatunki „O K".

Ostatnio wypuściliśmy na rynek nowe gatunki towarów (pod marką „Wimalen", zawierające w lwiej części r o d z i m y len.

**Widzewska Manufaktura — „Wima"
Spółka Akcyjna
w Łodzi**

Marka fabryczna ogólna

Marka fabryczna OK

Inż. A. GLIZER

Ostatnia faza terroru

(Korespondencja własna „Steru" z Palestyny)

Dla akcji terrorystycznej w Palestynie możnaby już prawie ustanowić prawa matematyczne. Rzecz rozwija się cyklicznie. Zamachy indywidualne, napady na szosach, ostrzeliwanie miejscowości żydowskich to jeden etap. Ośmielone częściowym powodzeniem koncentrują się bandy i zaczynają atakować z bliska kolonie żydowskie i zaczepiać wojsko angielskie. Próby te kończą się klęską, wobec czego komenda arabska sięga znów do wypróbowanej broni „drobnego" terroru. Powodzenie skłania znów terrorystów do większych wystąpień i tak w kółko.

Terror indywidualny, który komenda arabska z powodzeniem zastosowała po usunięciu Mufti'ego przez rząd, doprowadził w końcu do powstania wielkich band, które wojsko rozgromiło w Galilei w ostatnich dniach roku ubiegłego. Było potem przez pewien czas głucho o bandach, natomiast kwitły zamachy jednostkowe. Ttrwało parę miesięcy, zanim zdradziły się wielkie bandy i doszło do wystąpień takich, jak napad na Tirat-Cwi. Niedawne bitwy, które wojsko stoczyło z bandami, doprowadziły znów do ich rozproszenia. I oto jesteśmy znów świadkami zamachów to w Haifie, to na szosie Akko-Safed, zamachów, dla których „reprezentacyjne" jest wymordowanie na wspomnianej szosie 6 pasażerów, a wśród nich dziecka i zgrzybiałej staruszki.

Aktualna faza terroru wyróżnia się jednak specjalnie nasileniem zamachów w obrębie samego społeczeństwa arabskiego. Tak było w roku 1936 po odwołaniu strejku arabskiego i tak jest teraz znowu. Zarówno wtedy jak i teraz był to nieomylny objaw zachwiania się wszechwładzy terrorystów wśród ludności arabskiej. Strejk arabski był w dużej mierze wymuszony siłą, to też z jego zakończeniem nastąpiło swego rodzaju odprężenie, a masy, którym zdawało się, że nacisk zelżał, zaczęły się potrochu buntować w obliczu katastrofalnych rezultatów ekonomicznych strejku. Odpowiedzią było takie nasilenie terroru, które na długo ugruntowało władzę Mufti'ego wśród Arabów. Przeciwne mu elementy nie znalazły bowiem żadnego poparcia ze strony rządu i zdane na własne siły musiały się poddać.

Teraz jest inaczej. Teraz opór (bierny, rzecz prosta), na który terroryści natrafiają ze strony fellachów, jest rezultatem nacisku rządu. Nowy doradca policyjny rządu palestyńskiego, Sir Charles Taggert zastosował metodę walki z bandami, polegającą między innymi na tym, że na odnośnym terenie wojsko obsadza wszystkie wsie i przerywa kontakt między terrorystami a wsiami. Bandy, które „normalnie" gospodarzyły po wsiach, muszą się trzymać zdala. Pozbawia je to aprowizacji. Fellachowie zaś, wymęczeni dotychczasowymi daninami na rzecz band, nie kwapią się z dalszymi. W rezultacie popadają między młot i kowadło.

Wypadki terroru przeciw Żydom są drobnym ułamkiem tego, co się dzieje po wsiach. Napady band na wsie są codzienną „ozdobą" kroniki. Żąda się pieniędzy, żywności, ludzi („rekrutów"!). Kto nie daje lub jest podejrzany, naraża się na śmierć. Strzały, podpalenia, mordy, porwania, zemsta na krewnych są na porządku dziennym. Jeden tylko przykład: wieś Migdal-Cedek „wsławiła" się w roku 1936. Na jej terenie znajdywały się kamieniołomy, z których Tel-Awiw czerpał kamień budowlany i wapno. Cała wieś żyła z tych kamieniołomów, zbudowanych przez żydów tel-awiwskich. Z wybuchem rozruchów zaś poprostu je zniszczyła. Dynamit i ogień zżarły wszystko. Trwało długo, nim można je było znowu uruchomić. Tym razem na innej jednak podstawie. Pracują robotnicy żydowscy pod ochroną żydowskich „gafirów". I oto w tych dniach usłyszeli „gafirzy" około północy krzyki ze wsi. Młyn się palił, a w nim zamknięci byli ludzie. Żydzi pobiegli, kolbami wysadzili drzwi i wyratowali ciężko już poparzonego młynarza z żoną i dzieckiem. Okazało się, że banda żądała pieniędzy, a gdy ich nie otrzymała, oblała młyn wewnątrz i zewnątrz naftą, ludzi nie wypuściła, drzwi zaryglowała od zewnątrz i podpaliła budynek. Cała wieś wołała „ratunku", ale nikt się nie odważył wyjść. Dopiero wobec nadejścia „gafirów" banda się ulotniła. Nazajutrz przyszła delegacja ze wsi do kolonii z prośbą, aby Żydzi ich pilnowali...

Rząd jest jednak widocznie odmiennego zdania, bo w tym samym prawie czasie zredukował pewną liczbę żydowskich policjantów pomocniczych. Przyniesie mu to wprawdzie oszczędności finansowe, ale czy pozostanie bez wpływu na bezpieczeństwo? Wolno wątpić. Nowe kierownictwo policji ma do zanotowania rozmaite sukcesy. Zdarzają mu się czasem nawet, tak na palestyńskie stosunki dziwne wypadki, jak wykrycie morderców. Ale jeśli jednym z przejawów reorganizacji ma być cofnięcie się z obranej przez poprzedniego komendanta Spicer'a wraz z Wauchope'm linii wciągnięcia żydów do służby bezpieczeństwa, to szkoda będzie napewno większa od sukcesów.

Przed rokiem mniej więcej przygotowany został i wyćwiczony specjalny oddział żydowski ochrony dróg. Dlaczego nie powołuje go się do pracy? Wszak patrole jego byłyby ważnym środkiem zabezpieczenia komunikacji. Dlaczego nie uzbraja się też szoferów żydowskich i ich pomocników? Oto dwa pytania, które narzucają się w związku z problemem terroru na drogach.

Inne pytanie, które nasuwa się w tych sprawach: wiadomo, że Sir Taggert projektuje utworzenie specjalnej żandarmerii konnej dla strzeżenia granicy jordańskiej. Czy będą w niej, jak fama głosi, sami Arabowie, czy też wzorem istniejącej od roku policji na granicy północnej i Żydzi w pokaźnym procencie? Sir Harold Mac Michael oświadczył w tych dniach (podczas pierwszej wizyty w kolonii żydowskiej — w Deganii), że odnosi się przychylnie do życzeń żydów w tym względzie. Zobaczymy, jakie będą rezultaty.

Zbliża się druga rocznica wybuchu rozruchów. Dużo się przez ten czas zmieniło. Również i rząd nie pozostał w miejscu. Ale, jak dawniej, tak i teraz zawsze jeszcze jest w tyle za inicjatywą terrorystów. Wciąż jeszcze nie robi 100% tego, co może. A powinienby robić więcej niż może.

Tel-Awiw, 10.IV.38.

SAUL CZERNICHOWSKI

TANIEC

„...I wyszły za nią niewiasty z bębnami i śpiewem"
Exodus 15,20.

Bębny bębnom biją takt — dzwonią gęśli gęślom zew,
Ona z bębnem — bęben z nią: warkot kling i mieczy śpiew.
Córa z córą wyszły w tan, zaśpiewały pieśnią nóg:
Wir zawrotny — chmurny wiatr w ogniu tęcz pustynnych smug.
Płyną wzwyż i suną wtył — dziki szał — upojny cud
W splocie głów i stóp i rąk i pełnych biódr i smukłych ud.
Wszetecznice w świętym śnie! bezwstydnice w bieli dusz!
Pierś błagalna, udo — żar — rozpłomieni krew śród burz.
W nausznicach złota pieśń, w bransoletach żądzy dźwięk,
Czar piekielny w tańcu ciał — szept bezgłośny — biały wdzięk...
„Hej, Baalu, boże żądz! Weź mię, bierz mię, spłyń w twój chram!
Tobie pierś ma — daj mi płód! Niech od ciebie ogień mam!...
Moich nóg nie widział gach, nie znał obcy moich ud —
Więc obnaży je mój tan — krew ci spraży, daj mi płód!..
Daj mi płód, o, daj mi płód! ród brzemienny w głód i w trud!
Oblubieńcze czekam — pójdź! Będzie z moich lędźwi lud.
Święty będzie jego duch, łzą owiany niemych snów,
Upojeniem srebrnych gwiazd — szczytnych dumań w mgle bez słów.
Chmurny będzie jego wzrok, jak żar piachu w pustce Sin;
Nie uwierzy w cudów znak, aż się cud nie zmieni w czyn!
Godny będzie jego grób: pośród wydm i słońc i skał —
W oku błyskawice nieb, w sercu — gromy będzie miał!..
Dumna będzie jego śmierć, zgon bez łez, gdy przyjdzie czas:
Jako syk pustynnych żmij — jako mroźna stal — jak głaz!..“

One tańczą — płyną w krąg — pragną w serca wchłonąć świat:
Łka pieszczotą każdy nerw i sukien biel i fałdy szat.
Święte matki przyszłych dni! Pramacierze wieków—lat!
Żyzne gleby bujnych drzew! Ongi z lędźwi tryśnie kwiat!..
Pokolenia kryją w snach: ród zwycięski — świt i zmierzch...
Ród płomiennych skier i krwi — setnych głów — tysięcznych rzesz!
Żer dla mieczy, krwawych lanc — stosów, rzezi, ognia, mąk,
Dla pogromów przyszłych lat — dla zbrodniczych paszcz i rąk!
Dla wojennych kul i strzał — żer dla dziejów, ludów, walk —
Dla bezbrzeżnej zemsty krwi — jak pustynna — głucha dal...

Płyną wzwyż i suną w tył — dziki szał — upojny cud —
Święte matki przyszłych dni... W splocie biódr i smukłych ud.....

z upoważnienia Autora spolszczył
SALOMON DYKMAN

Dr. ESRIEL CARLEBACH

Osiem dni gwiazdora filmowego

Paul Muni jest milionerem. Paul Muni jest najlepszym w Hollywood odtwórcą charakterów. Jest zdobywcą pierwszej amerykańskiej nagrody filmowej. Dla milionów ludzi, którzy widzieli jego „Zolę", „Pasteur'a" lub „Ziemię Błogosławioną" jest synonimem człowieka, któremu się sława słusznie należy.

Paul Muni przymierał głodem. Paul Muni był chłopcem z chederu gdzieś niedaleko Kołomyi. Należał do statystów ostatniego rzędu w jakiejś wędrownej trupie żydowskiej. Nie było nawet stu ludzi, którzy znaliby jego „Mirele Efros" lub „Der Car un der Rebe".

Czy więc dziwną rzeczą jest, że milioner Paul Muni nie lubi, by mu przypominać Paula Muniego przymierającego głodem? że postanowił nie dać się zaciągnąć z Hollywood do Kołomyi? że nie odczuwa zbytniej wdzięczności dla narodu, który go nie chciał znać dopóty — przez 30 lat prawie — grał na jego — żydowskiej — scenie, a teraz oklaskuje go entuzjastycznie, bo uznała go już przed tym scena amerykańska?

Nie, to nic dziwnego. Aktorzy są w gruncie rzeczy prymitywni. A Muni jest wielkim aktorem...

Środowisko żydowskie — to było dla Muniego to środowisko, które już ojca jego, jako aktora, wykluczyło z „szanującej się" rodziny, które go wciąż na nowo popychało na kraj zwątpienia. Środowisko żydowskie — Muni nie czuł doń nienawiści; ale nie chciał do niego należeć, nie chciał się znaleźć wśród jego członków.

Ale pewnego ranka to się stało. Nie żeby specjalnie jechał do Palestyny, lecz en passant. Podczas podróży dokoła świata. Ponieważ i tak był w Egipcie i podziwiał piramidy, chciał raz jeden ujrzeć Tel-Awiw.

*

Pora deszczowa. Nie dzieje się nic zabawnego. Gazety żywią się melancholijnie strzelaniną, turystów jest mało, jeszcze mniej wybitnych. I nagle wśród deszczu i napadów na stole redakcyjnym znajduje się Paul Muni. Prawdziwa bajka. Biedny, galicyjski chłopak z chederu, który stał się pierwszym gwiazdorem świata — przyjechał do nas, do Palestyny. Bajka z tysiąca i jednej nocy o najpiękniejszej poincie żydowskiej, jaka da się pomyśleć.

Gazety ubiegały się o materiał, dziewczęta o autografy, kina o nadzwyczajne przedstawienia, instytucje i kolonie o wizyty i przyjęcia. A wszystko, — jak to żydzi potrafią, natychmiast, bez chwili zwłoki. Otoczyli go reporterzy i ojcowie miasta, kobiety i wielbiciele, aktorzy dramatyczni i amatorzy. Atakowali hotel. Uroczyste odczyty, uroczyste przedstawienia — poprostu uroczystości.

Ale Paul Muni zdecydowany był podróżować incognito. Na całym świecie nie dopuszczał do siebie przedstawicieli prasy, a tu dopiero tego nie chciał. Nigdzie nie ofiarował swoich fotografii, tu nie chciał robić wyjątków. Podróżował nie dla publiczności. Podróżował dla siebie.

Kiedy mu przyniesiono pierwszy fotos do podpisania, powiedział: „Jestem teraz u szczytu sławy. Ale nie można się tu długo dtrzymać. Gdybym chciał spełnić wszystkie zwracane teraz do mnie prośby o autografy, musiałbym na trzy lata przestać pracować i tylko podpisywać. A gdybym już wreszcie odesłał ostatni autograf, adresat otworzyłby koperte, spojrzał na fotografię i spytał ze zdziwieniem: „Paul Muni — któż to jest?" I Muni postanowił w Tel-Awiwie również nie dawać autografów.

Pierwszego wieczoru, kiedy go po przedstawieniu teatralnym wreszcie zaciągnięto na szklankę herbaty, Paul Muni powiedział publicznie jeszcze bardziej szczerze: „Jakaś gazeta napisała tu, że na widok góry Karmelu wpadłem w elegijny nastrój i zawołałem, że zawsze pragnąłem ujrzeć tę górę. To nieprawda. Ani tego nie powiedziałem, ani nie pragnąłem. Nie marzyłem o Palestynie, nie jestem syjonistą i nigdy nim nie byłem..."

Chciał się odseparować. Nie chciał mieć z tymi ludźmi nic wspólnego.

*

Paul Muni ma w Palestynie krewnym: stryjów, prastryjów i powinowatych. Dawno już nie jadł faszerowanej ryby, a wśród rodziny doskonale mu smakowała.

Pytano go z onieśmieleniem, czy zostanie przez cały czas w Tel-Awiwie, czy nie zechce zwiedzić kraju, przynajmniej Jerozolimy. Nie, powiedział Muni, pada deszcz, gazety zrobiły już z niego wybitnego żyda, kto wie czy jakiemuś Arabowi nie wpadnie do głowy strzelać do niego, a wcale tego nie chce. W każdym razie nie warto ryzykować. Cóż takiego jest tu do obejrzenia?

Oho, powiedziano mu, trzeba zobaczyć kolonie. I to wcale nie jest ryzyko. Są tu w pobliżu, na czysto żydowskim terytorium, można do nich się dostać szosami, które prowadzą tylko przez żydowski obszar. Niech tylko raz spróbuje.

Mówili tak nie tylko krewni. Mówił burmistrz, dyrektorowie funduszów narodowych, wszyscy znajomi, wszyscy koledzy, wszyscy, którzy w ogóle z nim rozmawiali. A gdy się Amerykaninowi coś przez dłuższy czas przekonywującego przekłada, odpowiada w końcu: All right. Ale to wiele nie znaczy.

Wsadzili go do auta i pojechali. Po drodze uczyli go naszego abecadła: ten grunt musimy kupić, zajmuje się tym Keren Kajemeth; te domy musieliśmy wybudować, to sprawa Keren Hajesod, te krowy przywieźliśmy z Holandii, tych ludzi z Polski i z Jemenu. Paul Muni powiedział: All right.

W tym miejscu należy dodać, że Paul Muni, który nigdy nie tworzy w ciągu roku więcej, niż jeden film, pracuje niewypowiedzianie dużo. Specjalnością jego jest odtwarzanie charakterów. O tym też ustawicznie myśli.

Trzeba tu dalej zaznaczyć, że Paul Muni jest w swoim fachu niezwykle utalentowany. Kiedy opowiada o tym, jak z setek książek i współczesnych obrazów próbował odtworzyć charakter Zoli — to zapiera wprost dech. Byliśmy z Munim w porcie. Tragarze schodzili do łodzi. Muni przyglądał się, a potem naśladował nam ich ruchy, na pozór zupełnie zwyczajne, konieczne, same przez się zrozumiałe ruchy. A potem powiedzia: „Ale grabym tak tylko wtedy, gdybym miał zagrać Hiszpanina. Bo tylko Hiszpanie w ten sposób schodzą do łodzi." Śmieliśmy się. Śmieliśmy się z niego. Bo to byli nasi polscy Żydzi. Ale wracając spytaliśmy ich nawpół żartem skąd pochodzą i okazało się: z Salonik, Sefardyjscy Żydzi, wygnańcy z Hiszpanii...

Sprowadzono go do farmy. Pokazano mu, co Żydzi stworzyli. Nie uważałem, żeby był tym zbyt zaskoczony. Ale spostrzegł i to, czego mu nie pokazano, bo pokazać nie można było, zobaczył, jak to żydzi stworzyli, zobaczył ludzi, którzy stali za tym.

Pokazano mu aparat wielki, dzieło niezmordowanego oświecenia, trud zbierania i ubóstwo środków, którymi się przy tym wszystkim dysponuje. Ale on nie to widział. Widział, co ten aparat przy tym wszystkim i pomimo wszystko stworzył.

Nie wiem dokładnie, co widział. Może wyzwolenie, wolne ruchy żydów na własnej ziemi, może spostrzegł, że nie uważają pracy za przekleństwo, może ujrzał zuchwalstwo w ich oczach, a może usłyszał ton pieszczotliwości w ich głosie, gdy mówili o kurach — a może to było wszystko razem. Sam nie wiem.

Wiem tylko, że Paul Muni po powrocie złożył ofiarę na Keren Kajemeth.

Takie rzeczy się zdarzają. Przeżywamy to u wielu turystów. U każdego z nich odbywa się to w jemu właściwy sposób. Ale nie widzieliśmy tego nigdy u gwiazdora filmowego. I dlatego było to takie ciekawe. A poza tym jeszcze dlatego, że aktorów filmowych znamy tylko z gry. A tu to było naprawdę.

Paul Muni dał się schwytać. Musiał w piątek wieczorem odwiedzić synagogę Jemenitów. Musiał nagle skorzystać ze wszystkich zaproszeń, które już był rzucił do kosza. Był we wszystkich teatrach, składał prywatne wizyty, pojechał naturalnie do Jerozolimy i do innych kolonii, wystąpił nawet po raz pierwszy po wielu latach na scenie. I nagle przestał się śmiać z pomysłu ukazania żywego Herzla w filmie.

Stał się bardzo ciepły. Ale nie był to, i to jest rzeczą istotną, zwykły entuzjazm i podziw dla wielkiego, ciekawego dzieła. Było to coś zupełnie indywidualnego. Było to prawdopodobnie pojednanie pana z Hollywood z Kołomyją. Więcej jeszcze ze swoją Kołomyją. Z Kołomyją, której słusznie nienawidził.

Wszystko to stało się w ciągu ośmiu dni. Ponieważ każdy dzień przynosił nam jego wypowiedzenia się i nagłe decyzje, ponieważ w krótkim czasie mogliśmy zaobserwować przeobrażenie i czytać zmiany w impulsywnym i otwartym przed nami sercu, było to prawie dramatyczne. W każdym razie był to najładniejszy i najbardziej fascynujący film, jaki kiedykolwiek widziałem.

A kiedy rozstawaliśmy się, nie zabrakło też happy end'u. Paul Muni bowiem powiedział:

„Właściwie chciałem w przyszłym roku pojechać wprost z Ameryki do Japonii. Ale teraz namyśliłem się. Myślę — tu uczynił komicznie szeroki ruch — pojechać inaczej, dokoła kuli ziemskiej — przez Palestynę..."

J. BLEIBERG

Bóg Amenofisa i Mojżesza

W jednym z ostatnich numerów „Wiadomości Literackich“ ukazał się artykuł pod sensacyjnym tytułem: Czy Mojżesz był Egipcjaninem? Autor podaje w nim jako naukową „rewelację“ pogląd pewnego krakowskiego inżyniera, amatora studiów religionistycznych, o ścisłym związku między monoteizmem egipskim a mozaizmem. Pogląd ten, którym u nas w swoim czasie posługiwał się Andrzej Niemojewski, gwoli dowodzenia „moral insanity“, „żydowskich pastuchów“ i ich przywódcy, nie jest żadną nowością w nauce. O jego dostojnym wieku świadczy wymownie fakt, iż był on już znany w 18 wieku niemieckiemu klasykowi Schillerowi, który omówił go w specjalnym przyczynku p.t. Die Sendung Moses. Zdaniem krakowskiego religionisty hipoteza pokrewieństwa monoteizmu żydowskiego z egipskim, nasuwająca mu również przypuszczenie o egipskim pochodzeniu Mojżesza, wyjaśnia bez reszty cały problem, obalając tym samym samorodną legendę o objawieniu na górze Synaj. W istocie rzeczy hipoteza ta posłużyć może jedynie jako punkt wyjścia do porównawczej charakterystyki dwuch odmian jedynobóstwa, mających różny charakter i zgoła odmienne założenia.

Wbrew rozpowszechnionej wśród szerokiego ogółu opinii stwierdzić należy, iż idea monoteistyczna nie jest oryginalnie i specyficznie żydowska. Żydzi nie byli jedynymi wyznawcami jedynobóstwa w świecie starożytnym, nie mieli na nie historycznego „monopolu“. Sam problem historycznego pierwszeństwa lub „własności“ jakiejkolwiek idei uważamy za jałowy i wybitnie nienaukowy. Idee krążą w żywym ciele różnych kultur, pojawiają się lub zanikają zależnie od warunków i stosunków, których są funkcją. Poczęte z historycznej naiwności, poszukiwania „początku“ i wyłącznego źródła jakiejś idei są syzyfowym trudem, zgóry skazanym na niepowodzenie, gdyż dalsze badania kładą zawsze między bajki ugruntowaną już zdawałoby się prawdę o jej absolutnym początku. Analogicznie ma się sprawa z ideą monoteizmu. Występuje ona w świecie starożytnym u Hindusów, Chińczyków, Egipcjan, Persów, Żydów, Greków (w misteriach orfickich). Istota zaś zagadnienia nie tkwi w kwestii bezwzględnej oryginalności i historycznego „pierworództwa“, lecz w ujęciu specyficznych cech poszczególnych odmian jedynobóstwa i ich wzajemnego historycznego stosunku. Wszelkie inne podejście do zagadnienia uważać należy za brak krytycyzmu lub nienaukową apologetykę.

Otóż, jest historycznie stwierdzonym faktem, że w Egipcie tendencje monoteistyczne były bardzo silne. Nie wyszły one jednak poza obręb wtajemniczonej elity kapłanów, uprawiających monoteistyczny kult w zamkniętych misteriach o bardzo surowym regulaminie, dostępnych jedynie dla nielicznych wybranych i powołanych. Lud natomiast trwał w politeizmie, nie znając zazdrośnie przez kapłanów strzeżonej prawdy o jedynym Bogu, nazywanym Jao lub J-ha-ho, o którym hymny egipskie mówią, że stanowi istotę tego, co jest, było i będzie, że jest jedynym Bogiem, któremu zawdzięczają swój byt wszystkie twory. Jak widzimy, monoteizm egipski posunął się bardzo daleko w wyabstrahowaniu Istoty Najwyższej, której jedynym widomym, materialnym kształtem jest promień słoneczny, jako źródło wszelkiej siły witalnej. Monoteizm egipski ma więc podłoże naturalistyczne, opiera się na ubóstwieniu siły natury, słońca, podniesionego do godności jedynego Bóstwa, dlatego też bywa nazywany monoteizmem solarnym (słonecznym, od łacińskiego — sol — słońce).

W połowie 14 wieku przed naszą erę, oświecony Faraon Amenofis IV powziął śmiałą rewolucyjną myśl udostępnienia ezoterycznej (tajemnej) dotychczas doktryny monoteistycznej egipskiemu ludowi, pogrążonemu w zabobonach i przesądach wielobóstwa. Swemu głębokiemu uczuciu religijnemu dał egipski władca wyraz w pięknym hymnie o jedynym Bogu—Słońcu, jednym z najstarszych dokumentów monoteistycznej liryki, wielbiącym jego wszechmoc, dobroć i potęgę. Zacytujemy z niego dla przykładu pierwszych kilka wierszy, dające pewne pojęcie o jego wzniosłym patosie i poetyckim pięknie: „Wstajesz prześliczna z poza niebios końca, Ty, pierwsze życie, żywa tarczo słońca! Na Wschodzie wstajesz, wzbijasz się w południe. I świat twym pięknem napełniasz przecudnie. Wielkieś jest słońce! Cudne w blasku złocie! Wysoko świecisz — lecz każdej istocie! Dla wszystkich płoniesz jednako na niebie. Boś ty jest wszystkiem i wszystko jest w Tobie“

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że Mojżesz znał ezoteryczną doktrynę monoteistyczną kapłanów egipskich, której nadał nową, swoistą i oryginalną interpretację, przez podkreślenie moralnych atrybutów Boga. Bóg Mojżesza, to nie tylko pojęty osobowo jedyny Stwórca świata, lecz również najwyższy prawodawca, szermierz sprawiedliwości, obrońca moralnego ładu we wszechświecie. Jego atrybuty metafizyczne, jako Stwórcy, ustępują nawet na plan drugi wobec jego funkcji moralnej.

Widzimy to wyraźnie w Biblii, gdzie kosmogonia (opowieść o stworzeniu świata), nosząca na sobie wyraźne piętno wpływów babilońskich, zajmuje niewspółmiernie mało miejsca, bo kilka zaledwie rozdziałów, w stosunku do całości, poświęconej w większej swej części zagadnieniom prawniczym, socjalnym i rytualnym, których ostatecznym celem było moralne zdrowie narodu, jego polityczna i duchowa jednolitość. W przeciwieństwie do Amenofisa, który był z usposobienia (o ile wolno osądzić z zachowanego po nim hymnu i szczupłych historycznych danych), raczej poetą i marzycielem, niż politykiem, Mojżesza cechował realizm prawodawcy i zmysł organizatorski „wodza“. One Go też zapewne skłoniły do przystosowania uniwersalistycznej w założeniu idei jedynego Boga, jaką ona jest u egipskiego Mojżesza do poziomu umysłowego Hebrajczyków i konkretnych celów ich plemiennego życia. Dlatego uczynił Jehowę Bogiem narodowym i „Panem Zastępów“. Wiemy z Biblii, że nawet w tej narodowej i rodzimej postaci ugrutowanie monoteizmu wymagało ciągłej walki z recydywą bałwochwalstwa pierwotnej religii ludowej i ciągłej czujności wobec wpływów zewnętrznych. Tym też czysto utylitarnym względom przypisać należy antropomorfizm w pojmowaniu Boga, przypisywanie mu cech, a nawet afektów ludzkich (antropopatyzm).

Monoteizm Mojżesza ustępuje niewątpliwie pod względem swej filozoficznej „czystości“ i stopnia abstrakcyjności monoteizmowi Amenofisa. Ale też dzięki poczynionym przez Mojżesza koncesjom na rzecz wymagań życia, zdolności pojmowania ludzkich potrzeb chwili dziejowej, a co najważniejsze, przez nadanie Bogu atrybutów etycznych, uczynił on monteizm żywą prawdą uczucia ludu, oparł na nim całą organizację życia społecznego, nie wyłączając spraw z zakresu higieny i profilaktyki socjalnej. Idea jednego Boga przekształciła się w ideę jednego prawa, jednego porządku. Myśl o kosmicznej praworządności została przeniesiona do życia społecznego jako zasada moralnego ładu, prawnego porządku, opartego na niezmiennej bazie etycznego monoteizmu.

Ścierały się w nim dwie przeciwne sobie tendencje: narodowa i etyczna. Pierwsza ograniczała jego zasięg do jednego tylko wybranego ludu, druga zaś zmierzała do ekspansji poza sferę życia jednego tylko narodu. Swoistą bowiem cechą etyki jest jej powszechność. Jej podstawowa kategoria sprawiedliwość, oznacza w istocie swej stosowanie tego samego prawa, tej samej moralnej normy, z pominięciem wszelkich dzielących ludzi różnic. Nakaz święcenia soboty był dla tego sprawiedliwy, ponieważ stosował się również do niewolników i bydła. Etyczny charakter żydowskiego monoteizmu przesądził już w pewnym sensie dalszy jego rozwój w kierunku uniwersalizacji, nadania mu charakteru religii ogólnoludzkiej, czym stał się właśnie u Proroków: Amosa, Jeremiasza, Malachiego, tworzących w swej mesjanistycznej ideologii syntezę elementu narodowego i etycznego pierwotnego mojżeszowego monoteizmu. Jego etyczny patos, najwspanialej wyrażony w księgach Proroków, stanowi też odwieczny przewodni motyw myśli żydowskiej. Od pięcioksięgu, Proroków, Ewangelii poprzez Majmonidesa, Spinozę, Mendelsohna i Cohena, ciągnie się złoty łańcuch etycznych tradycji żydostwa, którymi „zaraziło“ za pośrednictwem zrodzonego z jego ducha chrystianizmu „niewinną“, aryjską Europę, buntującą się dziś przeciwko narzuconemu jej przed 20 wieków „azjatyckiemu“ jarzmu, przeciwko „orientalnym fałszom“ Dekalogu i Kazania na Górze...



Różne były koleje monoteizmu Amenofisa i Mojżesza. Pierwszemu Nemezis dziejów wyznaczyła skromną rolę wzniosłego epizodu, drugi zrobił wielką historyczną „karierę“, stając się źródłem dwuch nowych, na nim opartych systemów monoteistycznych: chrześcijaństwa i islamu.

Dwaj starożytni szermierze monoteimu, Faraon Amenofis i Prawodawca Mojżesz, należą do rodziny wielkich duchów ludzkości, które jak słupy ogniste wskazywały jej drogę, prowadzącą od Jednego Boga do Jednej Ludzkości, rządzonej Jednym Prawem, poczętym z ducha sprawiedliwości i miłości wszechludzkiej.

MAURYCY SZYMEL

Wozy Faraona

I.

Był król egipski, Faraon. Żarł. Pił. Miał wiele kobiet, wielbłądów. A ustanowił Faraon nad nimi kapłanów. Kapłani żarli, pili i mieli wiele kobiet, wielbłądów i niewolników. I ustanowili nad nimi dozorców... Dozorcy mieli wiele kobiet, wielbłądów i niewolników. Niewolnicy mieli krzywdę. Od świtu do zmierzchu smagała ich krzywda żelaznymi prętami po obrzękłych , pokrwawionych grzbietach.

Faraon był wesoły. Kapłani byli weseli. Dozorcy byli weseli. Niewolnicy byli smutni. Słońce prażyło. Wicher wzbijał w górę złote chmury piasku. Trzeba było szybko budować Pithom i Rameses, dwa piękne nowe miasta dla Faraona, dla kapłanów, dla dozorców i dla ich nałożnic. Niewolnicy budowali. Cegła do cegły. Wznosiły się mury. Jaśniały w słońcu płaskie, złocone dachy pałaców — i świątyń.

Faraon był wesoły, bo kapłani dobrze spełniali swój urząd. Kapłani byli weseli, bo dozorcy dobrze spełniali swój urząd. Niewolnicy byli smutni, bo z grzbietów ściekała im krew i sił już nie mieli do kobiet czekających nocą w ciemnych namiotach. Lecz w Egipcie było wesoło, bo weselili się ci, którzy Egiptem rządzili. Pomagało im słońce, przepalając piasek w czerwone cegły, z których wyrastały złote miasta. Pomagał im księżyc, srebrząc kunsztownie mroki ich komnat, pełnych śpiewu, miłości i wina.

Dni i noce przepływały w słońcu i gwiazdach, jak fale świętej rzeki Nilu, w której mnożyły się krokodyle.

I zdawało się, że po wsze czasy będzie Faraon panował ziemi egipskiej w spokoju i rozkoszy.

Aliści, wyszedł pewnej nocy z chaty niewolnika Hebrejczyk niektóry, syn Lewiego, syna Jakóbowego i pogroził pięścią dalekim duchom pałaców i świątyń.

W tej samej chwili wypadł Faraonowi z dłoni złoty puhar, w tej samej chwili ocknęli się niespokojnie kapłani w swych łożach rozpusty, w tej samej chwili mocniej ścisnęli w swych rękach dozorcy zimne trzony żelaznych batów, w tej samej chwili unieśli się na swych legowiskach niewolnicy i mruknęli w ciemność :

— Któż to nam spać nie daje?

II.

Pobladł ze strachu Faraon. Chodzi po miastach zbiegły niewolnik, Hebrejczyk Mozis i głosi wszem wobec na rynkach i placach:

Jam jest Bóg Twój.

Wskazuje przy tym brudnym paluchem niebo, jakby tam ów Bóg siedział i naprawdę ludzkie sprawy ważył. Niebezpieczne to. Dotąd lud Egiptu znał jednego boga. Był nim on, Faraon. Cóż będzie teraz. A nuż lud uwierzy i nie zechce składać damn do skarbu?

Przerazili się kapłani. Od kogóż ściągać będę ofiary tłuste i ziemiopłody, jeśli lud pójdzie za owym niebezpiecznym Hebrejczykiem. Przelękli się dozorcy. Komuż służyć będą, jeśli kapłani wpływ swój utracą. Przelękli się niewolnicy. Cóż to za nowy Bóg, którego nie widać? Może gorszy od Faraona? Może sroższych ma kapłanów i sroższych dozorców?

Zaniepokoili się ziemianie i właściciele wielkich latyfundiów, winnic i sadów. Rzeczy niesłychane głosi po wsiach ów ponury bełkocący Hebrejczyk.

— Pamiętaj na dzień odpocznienia, abyś go święcił... — zaczęli powtarzać sobie cichaczem spoceni niewolnicy o pokrwawionych grzbietach i dziwili się tym słowom, po raz pierwszy od stworzenia świata wypowiedzianym.

— Nie będziesz zabijał — niosły się po Egipcie słowa tajemniczego Hebrejczyka.

Niespokojnie wiercili się w swych złotych łożach wodzowie armii egipskiej.

— Oszalał żyd — wyrzucali przez zęby — zaś pospólstwo nie rozumiało znaczenia tych słów, lecz strach wielki przypadł na ludzi prostych i bali się krwi... Człowiek, który zabił człowieka długo wpatrywał się w rozwarte szeroko źrenice trupa, czego dawniej żaden zabójca nie czynił.

Pierwszy raz od stworzenia świata brzmiały w mrocznych alkowach grzechu dziwne słowa niewolnika Mozisa:

„Nie będziesz cudzołożył“.

Rozplatały się ramiona, usta odpadały od ust, a krew jak zwierz poskromiony niechętnie wracała w spokojne łożyska swojego biegu.

Szemrali ponuro mężczyźni, którym spać po nocach nie dawał urok żony sąsiada. Niespokojnie rzucały się w swych łożach kobiety, czekające napróżno na swych grzesznych gachów.

Od pałaców Faraona, poprzez wille kapłanów, piękne domy dozorców i lepianki niewolników niósł się pomruk niezadowolenia i nienawiści.

Oto przyszedł człowiek, który ludziom oczy otwiera na rzeczy brzydkie, lecz rozkosz dające. Lepiej było w ciemności.

— Pracowało się bez wypoczynku lżej, niż teraz, gdy wiemy, że należy nam się odpoczynek — mówili niewolnicy.

Nie straszył po nocach trup wroga czy bogacza, jeśli nie wiedziało się, że zabijać nie wolno — szeptali w swych kryjówkach zbrodnarze i żołnierze Faraona. — — Straszna musi być śmierć — dodawali dzwoniąc zębami.

Jak bardzo smakowały pocałunki kobiet, jak bardzo pachniały ich piersi wtedy, gdy nikt nie mówił, że cudzołożyć ani zabijać nie wolno — skarżyli się onieśmieleni rozpustnicy, spoglądając nieruchomo w dalekie, zimne gwiazdy świata...

A Hebrejczyk Mozis chodził dalej po złotych rynkach Egiptu i gromił i nauczał, ściągając na się nienawiść i grozę śmierci.

— „Nie będziesz kradł“ — grzmiało po wsiach i miastach słowo Mozisa, nie bacząc na to, że patrzą nań zpodełba już wszyscy: i Faraon i kapłani i dozorcy i kobiety i mężczyźni. —

— Nie będziesz mówił przeciw bliźniemu twemu świadectwa fałszywego — nauczał groźnie prorok, a sędziowie struchleli. Oto wdziera się już nauka tego obłąkańca do sądów. Wyschnąć jeszcze gotowe najważniejsze źródło dochodu sędziów egipskich — łapówki. Podnieśli więc wrzask:

— Faraonie — przed sąd stawić trzeba tego maniaka Mozisa. Ten Żyd demoralizuje nasz bogobojny naród.

III.

W sali tronowej Faraona zebrała się Rada Kapłanów i wodzów, aby zastanowić się nad wytworzoną sytuacją.

Pierwszy wystąpił sędziwy arcykapłan Izydy:

— Faraonie i wy dostojni panowie, w kraju naszym rozmnożył się lud nieszanujący praw naszych; nie służy tobie ani bogom. Jest to lud barbarzyńców, buntowników i wichrzycieli. Bogobojny i spokojny naród egipski ulega zwolna ich antypaństwowej agitacji. W obozach niewolników — rozgardiasz! Naszym dzielnym i bogobojnym dozorcom trudno już opanować to rozwścieczone pospólstwo. Nie pomagają już baty, choć wprowadziłem pewną inowację, aby smagano opornych niewolników żelaznymi prętami. Hebrejczyków trzeba natychmiast i stanowczo poskromić. Zaraza zatacza bowiem coraz szersze kręgi.

Faraon kiwał potakująco i skwapliwie głową, a berło dygotało mu w roztrzęsionej ręce.

Zabrał głos generał:

— Faraonie i wy dostojni panowie, arcykapłan Izydy, nie dokończył tego, co chciał powiedzieć.

Kropkę na „i“ postawę JA. Jedyna siła, na której opiera się nasza piękna ziemia — to wojsko. Ono to odnosi raz po raz wspaniałe zwycięstwa, które przysparzają naszym ziemianom ziemi i niewolników, a sławę naszę roznoszą aż po krańce świata. Stąd nasze bogactwo i władza. W szeregi naszej dzielnej i bogobojnej armii wdarła się zaraza, którą krzewią trędowaci Hebrejczycy. Przyłapałem ostatnio jednego żołnierza, który w czasie największej walki wydzierał się:

„Nie zabijaj!“

żołnierza owego kazałem żywcem usmażyć na ogniu. Cóż uczynimy, gdy jutro przyjdzie inny obłąkaniec i ośmieli się zaprzeczyć Twojej nieomylności, o Faraonie, lub świętości Twoich kapłanów! Jakże utrzymać teraz karność w szeregach naszych, jak podbijać będziemy barbarzyńców i włości nasze pomnażać? Faraonie, jako wodz naczelny całej siły zbrojnej Egiptu, żądam wysiedlenia z granic naszej monarchii tego barbarzyńskiego ludu, który zagraża naszemu państwu.

Po sali przebiegł szmer niezadowolenia. Zwłaszcza kapłani dawali silnie wyraz swej niechęci do słów wodza.

O głos poprosił wielki mag Egiptu Amonastro.

— Drodzy panowie — seplenił bezzębnie staruszek — wodza naszego poniósł wigor żołnierza... Jesteśmy przekonani o jego wierności, lecz liczyć się musimy z koniecznością i wymaganiami naszej gospodarki: ten wielki liczebnie lud — to główna siła robocza Egiptu. Pomyślcie panowie ileby kosztować miało sprowadzenie tak wielkiej ilości niewolników! Ilu dzielnych żołnierzy naszych musi polec, aby podbić jeden lud chociażby, by zasilić w ten sposób słaby stan liczebny naszych niewolników. Lekkomyślnością byłoby tedy pozbycie się tej wielkiej rzeszy roboczej. Kto nam dokończy budowę naszych pięknych, nowych miast Pithom i Rameses!

Mam więc radę jeśli chodzi o wywrotową agitację Hebrejczyków. Ogłosimy naszemu ludowi, że każdy Hebrejczyk — to trędowaty. W ten sposób izolujemy nasz bogobojny naród od zgubnych wpływów tych niewolników, nie tracąc ich rąk, potrzebnych nam dla naszych wielkich zamierzeń.

Twarz Faraona złagodniała, berło przestało dygotać. Kapłani uśmiechnęli się od ucha do ucha. Nawet wódz naczelny nie mógł ukryć uśmiechu zadowolenia w swej czarnej, śpiczastej bródce.

IV.

Na Hebrejczyków przypadł strach. Reszta niewolników nie chciała z nimi obcować. Odgrodzono ich od całego obozu wysokim wałem z cegieł. Katowano ich okrutnie. Nie dawano im jeść ani wody. odebrano im kobiety. Lecz do pracy napędzano. Umierali z wycieńczenia i głodu. W obozie wybuchła epidemia. Wydostała się ona z obozu i przerzuciła na cały kraj, jak płomień skaczący z dachu na dach. Ludzie umierali jak muchy.

Wówczas postanowiono na Radzie, wysiedlić Hebrejczyków z granic państwa. Niech zdychają w pustyni. Wtedy zaraza ustanie.

I wyszedł lud izraelski z Egiptu.

V.

Owiała ich złota pustynia swym światłem i ogromem. Dokąd wiedzie ich ten ponury Mozis. Toć on wszystkiemu winien. I pocóż było opuszczać namioty pod Pithom i Rameses. Pozostały tam dymiące misy mięsiw i wina.

Cóż chce z nimi ten straszny prorok uczynić. Toć niewolnikami są jak wszyscy inni niewolnicy.

Aby jeść, aby pić, aby spać musi się Faraonom budować Pithom i Rameses. Odpoczywać nie wolno i grzbietu spod bata pochylać też nie wolno. Zaś Faraonom, kapłanom, dozorcom i żołnierzom wolno zabijać i kraść i cudzołożyć i świadectwa fałszywe składać. Im wszystko wolno.

— Pod Synaj nas wlecze — wołali co śmielsi — pod Synaj... Nie chcemy dźwigać tych ciężkich Tablic... Daj nam jeść i pić... cudzołożyć nam nie wzbraniaj i kraść i zabijać... I tak nie udźwigniemy tych dwu głazów na naszych słabych, pokrwawionych grzbietach. Na pustyni je pozostawimy. Pomrzemy tu wszyscy.

Lecz on, prorok wlókł ich pod Synaj.

Z pośród złotych wydm piaszczystych zalśniło morze.

Hebrejczycy upadali z nóg. A on, prorok okrutny, z oczami wlepionymi w niewidzialny Szczyt wlókł ich i bił słowami okrutnymi, jak baty dozorców egipskich.

Aż nocy pewnej pełnej wycia wichrów i słupów ognistych usłyszeli Hebrejczycy tętent koni i wozów wojennych...

To oni... Egipcjanie... I zanucił lud śpiew, który niósł się ku gwiazdom i morzu.

„O przyjdźcie zbawcy nasi o sercach okrutnych i złych...

Błogosławiony bat wasz, który daje dymiące misy mięsiw i kanwie wina pachnącego.

Oto grzbiety nasze podstawiamy pod dobroczynne uderzenia batów waszych.

O, przyjdźcie i wybawcie nas z rąk Boga, którego przyjąć w siebie sił nie mamy!“...

Tętent wzmagał się. Słupy piasku wieściły bliskość wozów Faraona.

Wtedy stała się rzecz straszna i ostatecznie odwrót zamykająca.

„Pan rozpędził morze wiatrem wschodnim gwałtownie wiejącym przez całą noc i osuszył morze, a rozstąpiły się wody...

I szli synowie izraelscy środkiem morza po suszy a wody im były jako mur po prawej stronie i po lewej stronie ich“.

Z oczyma tęsknie utkwionymi w nadbiegające wozy Faraona, przechodzili na drugi brzeg w wichrze i szumach gwałtownych z nieodwołalnym wyrokiem swego przeznaczenia.

SZ. AN-SKI

WSPOMNIENIA O I. L. PERECU

LITERAT ŻYDOWSKI NA MIARĘ EUROPEJSKĄ.

Nie przypominam sobie dokładnie, kiedy i w jakich okolicznościach usłyszałem po raz pierwszy nazwisko Pereca. nie wiem też, kiedy przeczytałem pierwszy jego utwór. Lecz pamiętam, a jeśli się nie mylę, w pierwszej połowie lat 90-tych, przeczytałem w zbiorowem wydawnictwie p. n. „Literatura i życie“ nowelę Pereca: „W piwnicznej izbie“ i że wywarła na mnie bardzo silne wrażenie. Byłem zdumniony, żem znalazł tak prawdziwie literacką (w europejskim znaczeniu) rzecz w ubogim wydawnictwie i po **żydowsku.**

Nie byłem broń Boże, przeciwnikiem języka żydowskiego; nie uważałem go za nieliteracki, gorszy. Przeciwnie. Gdybym znalazł wówczas grono zorganizowanych zwolenników tego języka, przystałbym do nich z pewnością. Zdumienie moje spowodowane było poprostu tym, że nie spodziewałem się spotkać tak wartościowego utworu, napisanego po żydowsku. Czytałem już w owym czasie coprawda wiele ładnych, z talentem napisanych rzeczy w tym języku: „Di Klacze“ Mendele Mojcher Sforim'a, Szolem Alejchem'a — „Stempeniu“, Dynesona — „Czarny Elegancik“, Lineckiego — „Polski chłopak“ i inne. Lecz tych wszystkich powieści i nowel nie traktowałem, jak prawdziwą literaturę. Ot, piękne i przedziwne opowieści, lecz żydowską literaturę wyobrażałem sobie tylko w postaci Szomera i Blosztejna. Ich jedynie uważałem za twórców, prawodawców i kierowników.

O kilka lat wcześniej, w roku 1890, odwiedziłem w Kijowie Szolem Alejchem'a, który wydawał już wówczas „żydowską Bibliotekę Ludową“. Opowiedział mi o swoich planach literackich i czytał ognisto płomienny artykuł polemiczny przeciw „szomeryzmowi“, jako „kierunkowi“ literackiemu. Z całym zadowoleniem przysłuchiwałem się jego wywodom, zgadzałem się z Szolem-Alejchem'em, lecz głęboko w sercu ukrywało się przeświadczenie, że tu żadna polemika nic nie pomoże, i Szomer pozostanie jedynym „mistrzem“ żydowskiej literatury.

I oto ta maleńka nowela Pereca wywołała w mych poglądach zupełny przewrót. Odczułem nagle, iż kierownikami literatury żydowskiej zostali nowi ludzie i że dzięki nim zalicza się już ona do wielkiej rodziny literatury europejskiej.

W tym samym czasie nawiązałem z Perecem pierwszą listowną znajomość. Posłałem mu najpierw szkic „Pism“, którą to rzecz wydrukował w „Kartkach Świątecznych“, a następnie duże opowiadanie. (Przekład jego ukazał się już przed tym po rosyjsku w miesięczniku „Woschod“). Perec przyrzekł je wydrukować, lecz nie pamiętam z jakich to powodów nie dotrzymał słowa, a nawet nie zwrócił mi manuskryptu. Pisałem do niego kilkakrotnie, lecz nie nadesłał odpowiedzi. Pamiętam, że byłem tym oburzony — i z tego powodu przerwała się na czas dłuższy nasza znajomość.

Wyjechałem do Paryża, znalazłem się w nowym środowisku, interesowałem się sprawami bardzo odległymi od literatury żydowskiej. Lecz z rosyjskimi żydami z Paryża, ze studentami, robotnikami i emigrantami, pozostawałem przez cały czas w bliskich stosunkach.

Zaznajomiłem się i zaprzyjaźniłem z Borelem, młodzieńcem rodem z Wilna, nie dawno wyemigrował do Francji. Pewnego razu podczas jakiejś dyskusji zwraca się on do mnie z uśmiechem.

— Mam dla pana podarunek.

I podaje mi książkę.

Otwieram — „Dzieła Wszystkie“ Pereca — wydanie jubileuszowe.

Na kartce tytułowej — wiersz hebrajski napisany przez Borela i zaczynający się, podług starego utartego zwyczaju, od słów „Na imię Ci Salomon“,

Niezwykłość podarunku zdumiała mnie. żydowska książka, a do tego jeszcze Pereca i wiersz hebrajski wywołały wspomnienia dalekiego i cichego domu rodzinnego.

Mój ofiarodawca nie poprzestawał na tym. Ujął mnie delikatnie za rękę i z zadowoleniem smakosza, przygotowującego sie do uczty, powiedział:

— Ot, dajże Pan na chwilę spokój debatom, chodźmy lepiej czytać Pereca

Zaprowadził mnie do siebie i nie przestając się cicho i radośnie uśmiechać, zaczął czytać „Opowadania“. Gdy skończył jedno, spoglądał na mnie rozpromieniony.

— „A co?“ — mówił i zaczynał drugie.

Takeśmy przesiedzieli do późnej nocy. Byłem oszołomiony i oczarowany. Teraz dopiero zrozumiałem Pereca i pojąłem jego wielkość. Stał mi się bliższy i drogi jak cząstka mej duszy.

Było to około roku 1901. Czasy się zmeniły.

Zagraniczne kolonie emigrantów żydowskich przyjmowały coraz bardziej nacjonalistyczny charakter. Wpływ Pereca wzrastał ciągle. Nikt, nawet najzagorzalszy socjal-demokrata, nie mógł go niedoceniać. Perec — było argumentem, sztandarem. Za pośrednictwem dzieł jego zaznajamia się młodzież z ludem i duchem żydowskim, dzięki niemu zasymilowani chłopcy i dziewczęta, czytywali po żydowsku. Rzadko który wieczór literacki, bądź syjonistyczny, bądź bundowski (obie partie uważały go za „swojego“) odbywał się bez czytania utworów Pereca. Najciekawsze były prelekcje o nim wygłaszane przez Chaima Żytłowskiego.

PEREC IMPROWIZUJE...

W roku 1906 wróciłem do Rosji. Lecz minęło jeszcze kilka lat, zanim poznałem go osobiście. Zaznajomiliśmy się, jeśli się nie mylę, w roku 1908 lub 1909, gdy zaproszony przez grupę radykalną na odczyt, przyjechał Perec po raz pierwszy do Petersburga. Spotkaliśmy się w sali odczytowej, kilka minut przed rozpoczęciem jego przemówienia. Objęliśmy się i ucałowali, jak starzy znajomi.

Już wcześniej widziałem portret Pereca, lecz byłbym go nie poznał. Niewysoki, barczysty, miał piękną o wysokim czole głowę, wesoły, energiczny wyraz twarzy i mądre, błyszczące oczy. Pomyślałem, że spotkawszy go na ulicy, nie wziąłbym go za żyda. Typowa, żydowska twarz, a jeszcze bardziej — oczy, lecz głowa wysoko podniesiona, ruchy swobodne, na twarzy wyraz dumny i spokojnej pewności siebie. W całej postaci żadnego piętna golusu! Tak pewnym siebie i pozbawionym śladów dawnej niewoli nie był żaden ze spotykanych przeze mnie zasymilowanych żydów petersburskich.

Na odczycie zdarzył się incydent charakterystyczny zarówno dla Pereca, jak i dla ówczesnej żydowskiej młodzieży petersburskiej.

Sala rozumie się, była przepełniona, lecz większa część składała się z ludzi, którzy przyszli nie posłuchać, lecz zobaczyć Pereca. Nie brak było osób, nieumiejących po żydowsku wcale, albo też bardzo nie wiele.

Perec po mistrzowsku czytał swe utwory, lecz nie był w ogóle odpowiednim prelegentem dla liczniejszego zgromadzenia. Był za szlachetny i prosty, a czytanie jego przystosowane do szczupłego grona bliskich znajomych, nie mogło się podobać tak tłumnie zebranej publiczności. Miał słaby głos, intonację niezbyt mocną, a na dobitkę jego polska gwara obco brzmiała dla uszu litewskiej publiczności i czyniła niektóre słowa niezrozumiałymi.

Siedzący w pierwszych trzech lub czterech rzędach słyszeli dość dobrze, lecz mało co zrozumieli: do reszty audytorium dochodziły tylko pojedyńcze, bez związku słowa.

W ciągu pierwszych dziesięciu minut było cicho. Później zaczęto się na sali poruszać, rozmawiać dyskretnie między sobą, wychodzić potrochu, z początku pojedyńczo, później coraz odważniej, tłumniej, tak, że zanim Perec skończył pozostało w przepełnionej poprzednio sali, niewiele tylko osób; z sąsiedniego pokoju dochodził za to gwar głośno prowadzonych rozmów.

Podczas przerwy przykro mi było podejść do Pereca. Wstydziłem się postępowania publiczności i czułem głęboki żal, że świąteczny nastrój został zakłócony.

Perec zauważył mnie zdaleka. Przedostał się przez ciżbę i z wesołym, swawolnym uśmiechem, tonem zwycięzcy, powiedział:

— Kto jeszcze zdołałby równie szybko wypędzić z sali taką czeredę? To przecież nielada sztuka!

Widziałem, że uśmiech jego nie jest sztuczny. Perec był naprawdę zadowolony, że w Petersburgu, którego nieciepiał, przyjęto go, jak przystało na gburów.

Po przerwie powinien był Perec wystąpić na nowo.

— Co mam czytać? — pytał „swoich ludzi“, którzy go otoczyli.

Jeden radził czytać „Sztrajmł“, inny „Boncie Szwajg“, jeszcze inny „Wędrówkę pieśni“.

Perec przecząco potrząsał głową: żadna z tych rzeczy nie odpowiadała w tej chwili jego nastrojowi:

Pomyślał chwilę. potem wziął mnie na stronę.

— Gdzie pan siedzi? Czy daleko odemnie? Niech pan powie przewodniczącej, żeby dała panu miejsce w pierwszym rzędzie. chcę pana widzieć.

— Poco?

— Akurat na przeciw mnie siedzi jakaś szkarada i ziewa bezustanku. Denerwuje mnie.

I dodaje z przekornym uśmiechem.

— Wie pan, co zrobię? Nie będę nic czytał. Pan usiądzie naprzeciw mnie, a ja opowiem panu historię, będę improwizował,

Wziąłem to za żart. Lecz Perec dotrzymał słowa. Gdy miał zacząć, zwrócił się w moją stronę, pochylił się nieco ku mnie i zaczął spokojnie mówić, jakby oprócz nas, nikogo nie było na sali. Opowiadał o promieniu, który zapatrzył się tęsknie na ziemię nie zauważył, że słońce zaszło i zatrzaśnięto bramy niebios. Nie wolno mu już nigdy wrócić do swego schronienia! Próbuje więc zejść na ziemię, lecz i to mu się nie udaje, gdyż nie może się oderwać od nieba.

Od tego zaczęło się opowiadanie o promieniu. Była to przepiękna alegoria. Lecz usłyszeć ją zdołało zaledwie 10 osób z pomiędzy 300 — 400, które znajdowały się na sali.

Zebrani nie wiedzieli początkowo, czy Perec czyta, czy rozmawia z kimś, kto siedzi naprzeciwko. Wreszcie znów się na sali zaczęto poruszać, rozmawiać po cichu i powoli rozchodzić do domu...

HISTORIA O RABINIE Z OPATOWA.

Chasydzi opowiadają o rabinie Izraelu z Różan następującą historię. Kilku jego chasydów pojechało na Jom-Kipur i Nowy Rok do rabina z Opatowa. Gdy na Kuczki przyjechali do Różan, zapytał ich rabin Izrael, co ciekawego widzieli u rabina z Opatowa. Chasydzi przelękli się i odpowiedzieli, że boją się mówić o tym, co się tam działo.

— No czo, czo? — nalegał reb Izrael (wymawiał wadliwie niektóre zgłoski).

— Rabin z Opatowa przyszedł do bóżnicy na poranną modlitwę w Jom-Kipur z mokrymi pejsami! — wykrztusił na koniec jeden z chasydów.

To znaczy, że rabin z Opatowa kąpał się, czego w ten dzień czynić nie wolno.

Chasyd był pewien, że reb Izrael podskoczy ze zgrozy. Lecz omylił się. Zamiast tego zawołał on zachwycony:

— Ach! Jak zazdroszczę temu wielkiemu chasydowi. On robi, czo chcze, czo chcze!!!

Perecowi także można było zazdrościć, robił bowiem „co chciał“.

Jego zachowanie na odczycie nie było rzeczą przypadku: robił często „co chciał“, nie licząc się z nikim i niczym.

W OGNIU TWÓRCZEJ SAMOKRYTYKI.

Po raz drugi przyjechał Perec. do Petersburga, gdy tworzył teatr żydowski, na który to cel spodziewał się zebrać tutaj 15 tysięcy rubli. Na bankiecie, urządzonym przez petersburską inteligencję w celu uczczenia jego osoby, wystąpił Perec z ostrym, gniewnym protestem przeciwko tym, którzy wygłaszali swe przemówienia nie po żydowsku. Wielu uczestników obraziło się i cały plan zbiórki pieniędzy rozpadł się z tej przyczyny.

Perec, „robił co chciał“, ale zawsze wiedział, czego „chce“. I co się zdala wydawać mogło dziwactwem było zawsze głęboko przemyślane.

Dumna i prosta dusza Pereca odniosła kilka bolesnych ran. Od pierwszego swego wystąpienia czuł się Perec głęboko zraniony i dotknięty, jako Żyd, jako pisarz narodowy i jako twórca w języku żydowskim. Odczuwał otaczającą go atmosferę nienawiści, lekceważenia i pogardy bądź to ze strony nieżydowskiej ludności, bądź asymilatorów, bądź wreszcie inteligencji hebrajskiej. Pomimo, iż był szlachetniejszy bardziej kulturalny niż zasymilowani Żydzi; pomimo, iż literaturę hebrajską pojmował głębiej może niż najżarliwsi hebraiści — odpowiadał Perec na nienawiści lekceważenia, które towarzyszyły słowu „żyd“, żydowskiej literaturze i żydowskiej mowie, — większą jeszcze nienawiścią i większą pogardą. Odczuwał prawdziwe zadowolenie, jeśli mógł odciąć się ostro zasymilowanemu żydowi.

W tym, że Perec „robił, co chciał“ tkwiła inna przyczyna, znacznie głębsza, biorąca początek w najważniejszym rysie charakteru Pereca: jego fanatycznym kulcie dla prawdy.

Był on poprostu przepojony dążeniem do niej, nie potrafił słowem, spojrzeniem lub grymasem nie wyrazić tego, co wiedział i myślał w danej chwili i nie znosił poprostu organicznie kłamcy lub fałszywego człowieka. O takich ludziach zwykł się wyrażać bez nienawiści, lecz z głęboką pogardą. Z prostotą dawnych „wybranych“ wypowiadał każdemu swobodnie, w oczy — prawdę, choćby najostrzejszą i najbardziej przykrą. Dlatego to miał tylu nieprzyjaciół, lecz bali się go oni więcej, niż nienawidzili. Obawiano się go, jak surowego sędziego, który czyta w sercu.

Kult prawdy przywiódł go do nieuznawania wielu przyjętych zwyczajów i ceremonii, religijnych i kulturalnych, które uważa się za nieodzowne w świecie burżuazyjnym. Nie obchodziło go wcale „co ludzie powiedzą“. W każdym etykietalnym czynie, mówił, w każdym zwyczaju ukrywa się kłamstwo. Bo czyż człowiek żywy i ze zdrowymi zmysłami wyrażać może swoje uczucia i myśli w formach zakrzepłych już i bez dusznych od szeregu pokoleń?

Charakterystyczne jest to, że Perec wielki piewca starej tradycji, który tak głęboko odczuwał i rozumiał jej poezję i piękność w życiu ludzi prostych i naiwnie wierzących — sam, prawie demonstracyjnie. nie przestrzegał wszelkich zwyczajów, które się nie zgadzały z jego poglądami. Największy piewca chasydzkiej legendy nie lubił, nienawidził prawie „cudotwórców“, gdyż uważał ich za oszustów.

Perec nosił w sobie żywe źródło twórczości, które tryskało bezustanku. Nie znał zmęczenia, pracował i tworzył wiecznie niestrudzony, dążył i rwał się coraz wyżej i wyżej, próbował odważnie nowych form i nowych dróg.

Nowe formy jego twórczości toczyły wieczną walkę z dawnymi, które przeżyły się zdaniem jego i zatraciły swą istotną treść.

Pragnienie gorącego, intensywnego życia i chęć, by wszystko dokoła było twórcze i ruchliwe, kwitło i radowało się życiem, doprowadziły Pereca do tego, że staczał boje z jedynym narzędziem twórcy-literata — ze słowem. Ubolewał, że musi posługiwać się słowami, które zostały stworzone setki lat temu, a teraz są już martwe i bezduszne. Stąd wzięło się szukanie nowych wyrażeń, zwięzłość stylu i głęboka tęsknota za idealną melodią, którą można by śpiewać bez słów, a nawet bez głosu.

Perec starał się zawsze o muzykalne wyrażanie myśli i uczuć. Nie naprożno mówi się w wiekszej części jego utworów o muzyce i śpiewie.

Ale bardziej jeszcze od bezdusznej tradycji i słów nie znosił Perec stępiałych ludzi, zadowolonych i spokojnych. Takich nie cierpiał więcej może od kłamców.

Ci, którzy mało znali lub rozumieli Pereca uważali go za człowieka zadowolonego z siebie i swoich utworów. Perec niejednokrotnie dostarczał materiału do takiego sądu przez pewność siebie oraz pewne lekceważenie dla oceny krytycznej dzieł swoich, którym sam przypisywał niekiedy wielką wartość.

Pewnego razu, gdym przyszedł do niego powiedział:

— Czy chce pan usłyszeć genialną rzecz? i zabrał się do czytania swego dramatu: „W nocy na starym rynku“, utworu ultra-symbolicznego, którego nie zrozumiałem prawie wcale, pomimo obszernego wstępu, jakim poprzedził czytanie.

Gdy skończył wypowiedziałem swoje zdanie:

— Pod względem niejasności jest to pewnego rodzaju druga część „Fausta“.

— Druga część „Fausta“ — powtarza Perec zdziwiony — powiedz pan — piątą część!

Był to rozumie się, jeden ze zwykłych żartów Pereca. Jak surowy sąd stosował do swych dzieł świadczy, choćby to, że bardzo wiele razy przerabiał je i przepisywał. Jeden ze swych najlepszych dramatów „Złoty łańcuch“ przerobił z dziesięć razy, a ostatnie swoje dzieło, tłumaczenie „Koheleth“ przerobił i przepisał sześćdziesiąt siedem razy!!

PEREC I DYNESON — DWIE DUSZE W JEDNYM CIELE.

Wkrótce po zawarciu pierwszej znajomości z Perecem przyjechałem do Warszawy, gdzie mogłem przyjrzeć się mu w codziennym życiu, w jego zwykłym otoczeniu.

W Warszawie zaznajomiłem się osobiście z Jakubem Dynesonem, z którym korespondowałem już wcześniej. Spotkałem go w domu Pereca, a może też Perec zaprowadził mnie do niego — i od tego czasu, prawie zawsze, spotykałem ich razem. Im bliżej się z nimi zaznajamiałem, tym silniej odczuwałem ich serdeczną przyjaźń, aż stali się najpierw w myślach moich, a później i w mym sercu nierozłączni. Nie mogłem sobie wyobrazić każdego z oddzielna.

Istnieje ludowe przysłowie o najwyższej formie przyjaźni: „Jedna dusza w dwóch ciałach“. O Perecu i Dynesonie możnaby te same słowa, lecz nieco inaczej, powtórzyć: „Dwie dusze w jednym ciele“. Trudniej bowiem sobie wyobrazić dwa bardziej różniące się od siebie charaktery, dwie indywidualności tak do siebie niepodobne, jak tych dwóch przyjaciół, równie serdecznie przywiązanych i nierozłącznych przez wiele lat.

Perec ze swoimi błyszczącymi, dziwnie mądrymi oczami, ze swoim płomiennym i olśniewającym darem wymowy, wywoływał we mnie zawsze wrażenie wielkiego, drogiego, starannie oszlifowanego brylantu; człowiek ten był jak brylant czysty i szlachetny, jak brylant świecił każdym oszlifowanym kantem, jak brylant był trwały w swych sądach i jak brylant ostro ciął tych, którzy zagradzali mu drogę ku wielkiemu celowi. Dyneson ze swym cichym spokojem, ze swym miłym spojrzeniem, które promieniowało nieskończoną dobrocią, delikatnością i ofiarnością, ze swą wieczna gotowością całkowitego oddania się drugiemu: Dyneson, który nie potrafił dotknąć kogoś ostrym słowem lub sprawić mu najmniejszą przykrość, był w wielu wypadkach przeciwieństwem gwałtownego, łatwo zapalającego się Pereca, a obaj przyjaciele stanowiły jakby jedną istotę. Nie było żadnej rzeczy, żadnego planu literackiego, żadnego czynu, zamiaru jednego, o którym nie wiedziałby drugi. Obaj żyli tym samym życiem, tymi samymi sprawami, te same mieli troski i radości. W mieszkaniu Pereca był Dyneson na równych prawach z gospodarzem domu. Wiedział gdzie leży każdy papierek i zwykł był, nie pytając Pereca, odpowiadać na adresowane do ostatniego listy.

— Panie Perec, dlaczego nie odpowiedział mi pan na mój list? — zapytałem go pewnego razu.

Byłem pewny, że Dyneson odpisał panu.

Co odpisał? — to rozumie się, Dyneson powinien był wiedzieć równie dobrze jak on sam.

Ich zbliżenie przerosło już nawet stopień przyjaźni. Tak bliski związek można niekiedy spotkać u małżonków, którzy przeżywszy ze sobą z pół wieku w miłości i wierności, zatracają jedno w stosunku do drugiego, granice własnego „ja“.

A prócz Dynesona — nikt więcej! Nie miał Perec obok siebie żadnego bliskiego człowieka. Był niezwykle osamotniony, mimo, iż stał w samym centrum poszukującej nowych dróg twórczych literatury, a nawet prawie całej kultury żydowskiej. Było to wielką tragedią tego mocarza.

Chociaż był Perec przewodnikiem wielu pokoleń żydowskich pisarzy i czuł całą odpowiedzialność zajmowanego przez siebie stanowiska, nie posiadał jednakże stałego otoczenia, ani trwałego oparcia. Wszystko wówczas znajdowało się w stanie chaosu, było niedojrzałe, niezorganizowane, łatwe do zniszczenia i zaniku. Perec sam musiał zabiegać o wszystko. Musiał się ciągle odrywać od swej artystycznej pracy i występować już to jako publicysta, krytyk lub popularyzator, już to redagować i wydawać jakieś miesięczniki, almanachy, wygłaszać odczyty i t. d. Lecz najwięcej czasu poświęcał młodym pisarzom. Wychował, nauczał całe pokolenia literackie. Prawie wszyscy pisarze, których imię cenione jest dzisiaj, przeszli jego szkołę i zawdzięczają mu swoje literackie wykształcenie.

Ostry i surowy dla setek i tysięcy młodzieńców, zasypujących go bezwartościowymi gryzmołami, uprzejmy był i serdeczny dla tych, u których zauważył iskrę talentu. Im to oddawał swój czas, pracę i kierował ich pierwszymi krokami.

Śmierć Pereca osierociła nie tylko literaturę żydowską, lecz całe wogóle pokolenie żydowskich pisarzy.

Po pierwszym przyjeździe do Warszawy, kilkakrotnie jeszcze odwiedzałem to miasto; Perec także ze dwa lub trzy razy przyjechał do Petersburga, a każde spotkanie zacieśniało naszą przyznami nastąpiło przed trzema lub cztenami nastąpiło przed trzema lub cbterema laty, kiedym zorganizował żydowską wycieczkę etnograficzną. Objeżdżałem miasteczka i osady, zbierając wszędzie opowiadania, legendy, pieśni i przeróżne melodie. Perec i Dyneson byli zachwyceni tym przedsięwzięciem. Za każdym razem, kiedym przyjeżdżał do Warszawy, „sadzał“ mię Perec i kazał opowiadać chasydzkie opowieści.

Musiałem często godzinami snuć jedną historię po drugiej. On słuchał i nie mógł się nasycić. Przy tej okazji miałem sposobność przyjrzeć się, jak odbywa się twórcza praca Pereca.

Przyswajał sobie odrazu moje opowiadanie, wyrzucał z niego części, dodawał nowe, wiązał z tematami innych opowiadań. Nie zdołałem jeszcze skończyć mej historii, a już Perec zaczynał opowiadać tę samą rzecz, przerobioną odrazu na „ludową opowieść“ i różniącą się tak bardzo od swego pierwowzoru, jak brylant od szkiełka. Nazajutrz było już takie opowiadanie spisane, a po kilku dniach znajdowałem je wydrukowane z napisem „An-skiemu — zbieraczowi“.

OSTATNI ETAP ŻYCIA PERECA

Poraz ostatni widziałem Pereca w końcu ubiegłego roku, w listopadzie i grudniu, podczas mego dwumiesięcznego pobytu w Warszawie. Przez kilka tygodni mieszkałem wówczas w jego domu.

Czasy były okropne. Po gwałtownym najściu Niemców w listopadzie, spodziewała się Warszawa jeszcze cięższych przejść. Nieprzyjaciel podchodził już pod Sochaczew i Bolimów.

W Warszawie słychać było wyraźnie dalekie odgłosy wystrzałów armatnich, nad miastem unosiły się samoolty i rzucały bomby. Wszędzie pełno żołnierzy, ulice zapchane „obozami“, wozami sanitarnymi i artylerią. Życie w mieście doszło do najwyższego napięcia nerwowego.

Dla nas żydów, wszystkie te niebezpieczeństwa powietrznej wojny ustąpiły na stronę, przed straszliwym nieszczęściem, które padło na mieszkańców okolicznych miast i miasteczek... Codziennie przybywały tysiące wypędzonych i uciekinierów. Przychodzili pieszo, nadzy, nieobuci, głodni, zmarznięci, przerażeni i bezradni. A dokoła wrzała i rosła nienawiść ludności do żydów, ekscesy, prześladowania i demonstracje. Każdy dzień przynosił nowe okropności, nowe troski i prześladowania, a spodziewano się rzeczy jeszcze gorszych.

W takim to piekle żył Perec, którego wojna zniszczyła zupełnie materialnie... Pracował na dobitkę w Gminie Żydowskej, dokąd ciągnęły bezradnie tłumy bezdomnych.

(dokończenie na str. 7)

Dr. I. SCHIPER

I. L. PEREC

(W 23. rocznicę zgonu)

1.

W 23-lecie śmierci poety z wielkim żalem stwierdzić można, że po dziś dzień nie ustalił się jeszcze Jego portret wewnętrzny. O Perecu pisano przy różnych okazjach setki szkiców i felietonów. Istnieje nawet większa, niestety nie dokończona monografia biograficzna o Perecu, który pierwszy tom z trudem zdołał przed kilku laty wydać jej autor, N. Majzel. Posiadamy całą literaturę „wspomnień" o Perecu, w których notowane są z pietyzmem różne szczegóły z życia wielkiego twórcy. Jest wydana niemal cała korespondencja Pereca. Istnieje wreszcie kilkunastoto-



mowe wydanie wszystkich jego utworów. I mimo wszystko po dziś dzień panuje „varia opinio doctorum" odnośnie twórczości Pereca. Opisano najrozmaitsze krzewy i drzewa i kwiaty w wielkim ogrodzie twórczości naszego pisarza, ale opisu ogrodu jako całości dotąd nie mamy. Zaokupowały Pereca różne stronnictwa, umieściły go na piedestale różne kierunki literackie, próbowano go też podzelić na części i cząsteczki i przypisać jedne temu stronnictwu czy „szkole" literackiej, drugie znów innemu stronnictwu czy „szkole". Ułożono nawet pewien schemat i określono daty. „Ustalono" tedy, że do roku mniej więcej 1894-go daje się twórczość Pereca określić jako „racjonalistyczna", „maskilistyczna". Później miał nastąpić okres „socjalistyczny", który trwał mniej więcej do roku 1900, wedle innych do r. 1904. Zluzować go miał w tym czasie dalszy etap charakteryzowany przez krytyków jako „chasydzko-romantyczny", „mistyczny". Trwał on wedle tego omal że kanonizowanego już schematu do r. 1907, poczym nastał w twórczości Pereca okres „impresjonizmu". Dalej się Perec już nie „posunął". Skończył na „impresjach"...

W rezultacie mamy kilku Pereców, z kilku okresów, przy czym jeden kłóci się z drugim, przeczy sobie z dawniejszych lat. W rezultacie otrzymaliśmy jakiś niesamowity obraz skoków i kaprysów, przeskakiwania siebie samego. Starano się nawet tę „kamelonowość", tę ciągłą „zmienność" poglądów i stylu wytłumaczyć i uzasadnić... Był więc Perec „dzieckiem swego czasu" (szczęście, że istnieje jeszcze pojęcie „czasu", „ducha czasu" itp.) a „czas", w którym żył i tworzył był przełomowy, rozwichrzony, kapryśny, wielodźwięczny, bez „ustalonej linii' itd. W tym „czasie" (mowa o przełomie 19 i 20-go wieku) byli asymilatorzy i „miłośnicy Syjonu", „ciemni fanatycy" i pionierzy socjalizmu, hebraiści i jidyszyści i negujący jedno i drugie, talmudyści, chasydzi, reformowani „izraelici" i zgoła bezbożnicy, pisarze starego typu — „batleni" i „badchani" i młode ptactwo, szybujące po rozmaitych izmach... Wszystko to miało w Perecu znaleźć odbicie, wszystko to miało się w nim skłócić i zbałamucić...

Czyżby tak było istotnie?

Czyżby w całej tej bogatej twórczości Pereca nie było nic takiego, co wyrosło ponad „czas", nic takiego, co strzeliło w przyszłość?

2.

Ilekroć mówiło się dotąd i pisało o Perecu, operowało się zwyczajnie kilkoma „szczytowymi" utworami, które wyszły z pod jego pióra. Weszło już prawie w zwyczaj wspominać o jego „Monisz" lub „Bończe Szwajg" z okresu t. zw. „maskilistycznego" oraz o jego „Goldene kajt", „Beinacht ojf'n altn mark", „Volkstümliche geszichten", „Chsidisz" z późniejszych okresów twórczości. Najrzadziej wspomina się o jego tłumaczeniach niektórych ksiąg biblijnych, o jego piosenkach dla dzieci, a już prawie nigdy o jego artykułach publicystycznych i felietonach, które w zbiorowym wydaniu jego dzieł (z lat 1921—1925) obejmują dwa okazałe tomy (tom VIII i XI). A wszak wystarczy się należycie wczytać w te właśnie zapomniane i zapoznane felietony i artykuły, aby otrzymać najautentyczniejszą interpretację twórczości Pereca, aby zrozumić jego linię rozwojową i dojść do właściwego sensu jego napozór tak krańcowo przeciwległych sobie utworów, jak „maskilistycznym" duchem owiane opisy z życia miasteczek i „mistyczne" opowieści chasydzkie lub „opowieści ludowe". Mamy tu również klucz do jego tłumaczeń biblijnych i do „herezyj" w rodzaju głośnych w swoim czasie ataków przeciw „sztrajmlowi" — ortodoksji. Mamy tu wreszcie najistotniejsze wyjaśnienie jego stosunku do różnych literackich izmów i do nortujących w społeczeństwie żydowskim prądów społecznych i politycznych.

Szczególnie wartościowy jest dla poznania istoty Pereca tom jego artykułów i felietonów, wydany pod zbiorowym tytułem „Pomysły i idee" („Gedanken un ideen"). Wchodzimy tu do warsztatu myślowego Pereca. Sam nam odsłania wszystkie swe impulsy i plany. Sam nam wyjaśnia, jak się kształtowała i wykrystalizowała jego postawa wobec rzeczywistości żydowskiej, co myśli o narodzie, jego przeszłości i przyszłości i do czego zmierza swą twórczością. I dziwić się tylko wypada, że dotąd tak mało czerpano z tego bezcennego źródła, że tak wiele mędrkowano o Perecu zamiast wsłuchać się w jego własną spowiedź.

3.

Trzymaliśmy się poręczy, którą nam dał Perec we wspomnianych „Pomysłach i ideach" i tak idąc po schodach, wiodących do różnych sal i zakamarków w pięknym pałacu, który Perec pozostawił nam w spościźnie, doszukaliśmy się następnego planu, następującej idei zasadniczej, która mu przyświecała przy wznoszeniu pałacu:

A więc widzimy w pierwszym okresie jego twórczości, sięgającym mniej więcej po sam skłon 19 wieku, gromadzenie materiałów do powstać mającej budowli, przedzieranie się prze „dżunglę" życia żydowskiego, chaotycznego na pierwszy rzut oka, wielodźwięcznego i wielobarwnego, bez „kamertonu". Znajduje Perec na swych drogach poprzez teraźniejszość żydowską skamieniałe, rudymenty dawnych epok („sztraj mel"), wymykanie się tragicznej konieczności stanowienia zdecydowanej myśli i woli poprzez cierpienie („Bończe Szwajg"), rozgwar haseł „ratowniczych", z których każde coś poświęca z dziejowego inwentarza. I dociera wreszcie do tego, co ma ożywić, spoić, scementować. Dociera poprzez wnikliwą analizę przejawów poznawanej rzeczywistości. Czy jest jakaś centralna idea, która nadać może sens życiu żydowskiemu? — pyta. Czy była kiedyś w przeszłości? Czy może się odrodzić? A może tylko o nowoczesną formę chodzi dla starej treści, żywotnej po dziś dzień i w przyszłości?

Tak pyta ustawicznie i dociera do głębokiej tajemnicy „krwi" żydowskiej. „Krew to nie woda!" Otóż i sedno rzeczy: nie mogę siebie tworzyć na nowo! Mam określone miejsce w przestrzeni, określone zadanie w czasie. Noszę w sobie dziedzictwo wieków i muszę je sobie uświadomić. Noszę w sobie spuściznę po pokoleniach żydowskich i nie wolno mi jej zdradzić, o ile mam być sobą, wiernym sobie, swojej „krwi". Duch mój ma swoją **geologię:** są pokłady gliny — te wierzchnie, są pokłady kredowe, są rudy wszelakie, lecz są również pokłady granitowe — a te są najgłębiej umieszczone. Do tej to granitowej warstwy przedrzeć się należy! Taką jest droga Pereca. Z początku „grzebie się" w górnej warstwie: podróżuje po miasteczkach żydowskich, notuje i zbiera szczegóły i szczególiki, zagląda do izb piwnicznych, do chederów, do różnych bóżnic i „klauz" z „pomylonymi batlanami" (niekoniecznie pejsatymi). Znajduje przy tym kości z dawnych epok, skamiełe formy, w których kiedyż wyrażała się żywa treść. Potym przychodzi kolej na nieco głębiej osadzoną warstwę. Dotarł do chasydyzmu. Znów zbiera i opisuje. Stał się „mistykiem", kokietuje coś, co przebrzmiało! — interpretują różni, współcześni mu i nowocześni mędrcy. Nic podobnego! Szuka swych przodków duchowych, poznaje część spuścizny po pokoleniach. I gdy współcześnicy albo wyklinają Pereca — mistyka, chasyda, albo go uwielbiają, Perec sięga do dalszego jeszcze, głębiej osadzonego pokładu. (Naszej literaturze brak tradycji! — podkreśla w pamiętnym artykule pt. „Czego brak naszej literaturze?", **„Przede wszystkim tradycja!... Nie słyszycie w naszej literaturze echa głosów, które rozległy się kiedyś na Synaju, nie widzicie w niej odbicia światła, które roztaczała ongiś szechina — dusza narodu nad cherubinami, zamilkło w niej słowo proroków. Renesans nasz doszedł zaledwie do cadyka Nachmana z Bracławia...**" Dodajmy, że dopiero dzięki Perecowi doszedł do Nachmana... Utorował jednak Perec i dalszą drogę. Odszukał warstwę „opowieści ludowych", w których mamy echa agady talmudycznej, średniowiecznych „testamentów", legend o „świętych mężach w Izraelu" oraz późniejszego sławnego „Maase-buch'u". Nie ustał na swej drodze ku „krwi" — tradycji. Aż dotarł tam, gdzie zaczął jako chłopak w chederze — do księgi ksiąg i do... piosenek dziecięcych. Tłumaczył pod koniec życia księgi biblijne, rozgrzewał swe członki wędrowca w słońcu palestyńskim. Znajdował spokój — ukojenie w myślach o dzieciach, o młodym pokoleniu, które poniesie w przyszłość spadek wiekowy żydostwa. Dojrzały mądrością wieków, do której przedarł się przez pokłady ducha żydowskiego, głosił wszem wobec centralną ideę narodu: Nie jesteśmy, jak inni! — grzmiał przeciw wszystkim, co to chcą nas „uzdrowić przez zniwelowanie. „Droga nasze wiedzie do boskiego człowieka, do ludzkiego Boga. To jest nasz nadczłowiek!" W tym sensie nazywał też naród żydowski — „nad-narodem".

Nie jesteśmy, jak inni! — powtarzał. Kroczymy drogą sprawiedliwości, która jest naszą centralną ideą. Inni jej dotąd nie znają. Byliśmy **pierwszymi** — kończy jeden ze swych esejów — którzy obwieściliśmy światu ideę sprawiedliwości, będziemy **ostatnimi** z tych, którzy otrzymają sprawiedliwość.."

PRYWATNE DOKSZTAŁCAJĄCE KURSY

„WIEDZA"

Kraków, ul. Pierackiego 14.
przygotowują na lekcjach zbiorowych w Krakowie **oraz w drodze korespondencji, za pomocą zupełnie nowo opracwanych skryptów, programów i miesięcznych tematów,** do:

1) egzaminu dojrzałości, starego typu,
2) egzamin ukończenia gimnazjum ogólnokształcącego nowego ustroju,
3) z zakresu I. i II. gimn. nowego ustroju,
4) egzaminu z 7-miu klas szkoły powsz.

Uwaga: Uczniowie kursów korespondencyjnych otrzymują co miesiąc oprócz całkowitego materiału naukowego, tematy z 6-ciu głównych przedmiotów do opracowania. Nadto obowiązkowe egzaminy badają 3 razy w ciągu roku szkolnego postępy uczniów. **Wykładają najwybitniejsze siły fachowe.**

WANDA KRAGEN

Jeszcze jeden dokument

Kiedy w towarzystwie opowiadałam o książce p. Marii Ukniewskiej, zapytano mnie, czy domyślam się, kim jest Modecki i Teresa, bohaterowie „Strachów"*). Odpowiedziałam, że mnie to nic nie obchodzi, że obchodzi mnie jedynie i wyłącznie książka. Wiem, że Warszawa będze snuła dokoła tej powieści „girlsowej" sieć plotek i domysłów, że przejdzie wszystkie aktorki rewiowe i wszystkie piękne nogi tancerek w poszukiwaniu Teresy. Wiem, że dokoła tej książki wytworzy się niezdrowa atmosfera ciekawości i sensacji — atmosfera typowa dla niektórych sfer Warszawy —i obawiam się, że w tej pikantnej mgławicy rozpłyną się i znikną prawdziwe walory książki.

Bo to przede wszystkim należy stwierdzić: przemówił tu talent pełnokrwisty, po brzegi nalany przeżyciem, z którego musiał wcześniej czy później zdać sprawę, bez osłonek i rzetelnie.

*) **Maria Ukniewska: Strachy, Warszawa, Rój 1938.**

Przemówiła tu jedna z bezimiennych girls, podrzucająca wysoko zgrabne nogi na scenie, zachwycająca publiczność dobrze zrobionym mostkiem czy szpagatem, pokazała, kim są i jakie naprawdę są girlsy. Po „Zaklętych rewirach" Worcela, po „Kochanku Wielkiej Niedźwiedzicy" Piaseckiego, otrzymujemy znów książkę, która odsłania przed nami pewien wycinek nieznanej rzeczywistości, pozwala nam zajrzeć głęboko za kulisy pewnych spraw, rzucając na nie jaskrawe, bezlitosne światło.

W „Zaklętych rewirach" kelner wyłuskiwał się na naszych oczach ze sztywnego gorsu białego półkoszulka, poza którym odkrywaliśmy człowieka, stłamszonego żelaznym trybem zawodu. W pięknej, romantycznej opowieści Piaseckiego zostały szeroko otwarte wrota, wiodące w obcość, w niebezpieczne rzemiosło granicznego przemytnika, został ukazany szmat życia, hermetycznie dotąd dla niewtajemniczonych zamknięty. Książka p. Ukniewskiej, debiutantki o określonej wyraźnie fizjognomii twórczej, ukazuje świat tancerek rewiowych od strony kulis i garderob, daje świetny, precyzyjny montaż typów i zdarzeń, z nawału ludzi i spraw wyławiając postać młodziutkiej girlsy Teresy i wysuwając ją na plan pierwszy.

Nie ulega wątpliwości, że podobnie jak tamte powieści, i ta wyrosła na podłożu autobiograficznym, że tę Teresę o szerokich „od ucha do ucha" ustach i przejasnych rzęsach i brwiach, czytelnik musi utożsamić z autorką. Choćby dlatego, że pedantyczny i surowy, nie cofający się ani na krok autentyzm powieści każe przyjąć za podkład autentyczne przeżycie.

Świat teatrów i rewij, dorodne tancerki i girlsy, rasowi aktorzy, bożyszcza dam i podlotków, scena zalana światłem, conocna ułuda roześmianych widzów... A z drugiej strony mroki kulis, ciasne garderoby, zmontowanie widowiska od strony technicznej, zawiści i przyjaźnie, intrygi i intryżki, szpetne nieraz tyły błyszczącej fasady. Gdyby tylko to odtworzyła Ukniewska, książka jej obudziłaby sensację. Ale ona sięgnęła głębiej. Obok teatru wmontowała w powieść dom Teresy, jej rodzeństwo i matkę, marnotrawnego ojca, który odchodzi z kochanką, potem znów wraca na łono rodziny — ojca, którego Teresa nienawidzi. Te dwie akcje i sprawy, teatrdom, zazębiają się ściśle o siebie, splecione są w jedną uzupełniającą całość: cóżbyśmy wiedzieli o grilsie Teresie, gdyby nie pokazano nam jej także w środowisku, z którego wyszła i do którego sercem przynależy? Nie dla przyjemności została przecie tancerką i podobnie jak wiele z tych młodych dziewcząt nie cierpi swego zawodu. Ale zarabia dzięki niemu, przez czas jakiś ona jedna utrzymuje rodzinę, a że wyszła z ciasnych, mizernych stosunków, co dziwnego, że jest w niej drapieżny pęd ku górze, ku dobrobytowi i wybiciu się?

Nic w tej powieści nie wydaje się zmyślone, nic w niej nie pobrzmiewa literaturą. W niesłabnącym ani na chwilę, wartkim toku akcji, życiowe i miłosne perypetie Teresy i jej przyjaciółki Linki, cała galeria typów ludzi teatru i tych, co kręcą się dokoła teatru, wprowadzona została niezawodnie na karty powieści i obrysowana dosadnie aż do brutalności. Trzeba naprawdę samemu zanurzyć się do dna w nędznej, żałosnej egzystencji girlsy, tańczyć naprzód w warszawskim teatrzyku, potem po jego bankructwie w lichym kabarecie na prowincji, wreszcie, gdy i ten się rozleci, w numerze rewiowym kina, trzeba własnym ciałem odczuć głód, biedę, kurczenie w pustych kiszkach po sześciu godzinach prób, mus naciągania przygodnych znajomych, poprostu na obiad czy kolację, by móc to tak opisać. I nie zmyślona jest ta silna, zwarta, dramatyczna scena u przedmiejskiej akuszerki, i ta druga, kiedy siedemnastoletnia Teresa idzie w strachach i cieniach nocy, by pozbyć się martwego płodu Linki, by zrzucić gdzieś tę okropną, ciepłą jeszcze paczkę, która jej pali ręce. Takich scen silnych, dynamicznych, nie podpatrzonych, lecz przeżytych, jest w tej książce mnóstwo. Włościwie cała się z nich składa.

W ten sposób można mówić i pisać jedynie o rzeczach, które się zna do gruntu, w których się samemu brało udział. Tętno prawdy aż wali i łomocze w tej książce, rzeczywistość literacka pokrywa się w stu procentach z rzeczywistością faktyczną. Kryje to w sobie zawsze niebezpieczeństwo spłycenia i pospolitości. Ale pisarce udało się szczęśliwym, nieomylnym instynktem przejść nad czyhającymi mieliznami i wypłynąć na szersze wody. W takich pamiętnikarskich, acz w trzeciej osobie pisanych wspomnieniach, idzie głównie o to, aby przeżycia własne uobiektywnić, oderwać od siebie samego i dać im zasięg szerszy, jednorazowość przenieść na płaszczyznę częstotliwości. Idzie o to, aby przejść nad samym sobą do porządku, aby stworzyć z siebie jeszcze jedną plastyczną postać powieściową. To zaś stało się w powieści Ukniewskiej, świadcząc dobrze o jej artystycznym kunszcie.

Książka p. Ukniewskiej nie jest i być nie chce dziełem sztuki w tym znaczeniu, aby przenosiła pewną dziedzinę zjawisk w sferę wyższą: pojęć. Jej nurtem nie płynie psychologizowanie. Ludzi „Strachów" poznajemy w wegetatywnym, codziennym, najprostszym bytowaniu, przez sam sposób ich egzystencji, mówienia, wyrażania się. Ten dokument, wyszarpnięty z życia, dyszący aktualnością i z gorączkowanym rytmem, pisany jest językiem bezpośrednim, nieliterackim, nieraz wulgarnym. Lecz ta wulgarność nie razi, jest raczej konieczna, jeśli mamy bez reszty uwierzyć w prawdziwość tych postaci, przylega do opisywanych ludzi i stosunków. Ów liberalizm słowny wywodzi się może od Uniłowskiego, na co zwraca uwagę w przedmowie Hemar. Uniłowski jednak w ostatniej swej książce w „20 latach życia", karykaturalną bezwzględnością opisu, przypominającą niekiedy rysunki Grosza, przechyla się ku grotesce, przekracza więc granice realizmu. Ukniewska pozostaje mu wierna przez cały ciąg swej pierwszej powieści.

(dokończenie z str. 6)

Straszna katastrofa narodowa poderwała gwałtownie siły fizyczne Pereca, złamała go poprostu. Kiedym przyszedł do niego, w połowie listopada, spostrzegłem natychmiast, że zaszła w nim straszna zmiana.

Perec nie lubił mówić o swoich dolegliwościach i osłabieniu, nie poddawał się żadnym chorobom. Lecz teraz zdradził go wygląd: był ciągle zmęczony, smutny i niechętnie wychodził z domu.

Rozumie się, że cały swój czas i siły poświęcał Perec bezdomnym. Założył w „Hazomirze" gdzie był przewodniczącym, schronisko dla 1000 uchodźców i troszczył się o ich utrzymanie. Nie oszczędzając, jak zwykle, niczego, oddał na loterię fantową na bezdomnych wszystkie drogie i piękne dary, które otrzymał podczas swego jubileuszu lub od swych zwolenników.

Lecz cała praca i wszystkie ofiary nie uspokoiły go ani trochę. Jego zmęczone, chore serce krwawiło, a silny, wielki umysł szukał ciągle odpowiedzi na trapiące go pytanie. Kiedym poraz pierwszy przyszedł do niego, prowadziliśmy długą rozmowę o sytuacji ówczesnej. Po raz pierwszy usłyszałem od niego gorzkie słowa zniechęcenia do ludzkości.

A kiedym późno w nocy wrócił do jego domu, zastałem Pereca przy biurku z piórem w ręku. Nie podnosząc głowy powiedział do mnie:

— Siadaj, przeczytam ci mój przekład „Koheleth'u", pracuję nad nim w ciągu ostatnich miesięcy.

I czytał mi to swoje, według mego zdania, najmuzykalniejsze dzieło: swoje „Koheleth". Czułem, że złamany umysł Pereca nie przypadkowo zagłębia się w „Koheleth", gdzie jednocześnie z „marnością nad marnościami" znajdują się i wieczne, prawdziwe słowa: „pokolenie za pokoleniem mija, tylko świat jest wieczny". Czułem, że w tej filozofii szuka odpowiedzi na swoje straszliwe pytanie, trapiące go bezustanku.

Zapytałem go umyślnie, czy ma zamiar przełożyć „Psalmy Jeremiasza". Skrzywił się tylko.

— Nie. Skarga bez wizji i myśli o przyszłości...

Następnego dnia powiedział :

— Jestem bardzo zadowolony, żeś przyjechał.

Oderwiesz mię od zajęć; powinienem odpocząć przez kilka dni, żebym się znów mógł wziąć do roboty.

I znów po kilku dniach :

— Omyliłem się. Zdawało mi się, że chcę na krótki czas tylko przerwać pracę, lecz okazało się, żem w ogóle stracił do niej zapał i zainteresowanie. Nie to...

Następnego dnia przeczytał mi opowiadanie p. t. „Neilah w piekle Kied ydoszedł do miejsca, gdy chazen***) uwalnia swą pieśnią wszystkich grzeszników z piekła, lecz sam w nim pozostaje, zatrzymał się nagle.

— A jak skończyć to opowiadanie?

— Nie wiem.

— Ja też nie wiem.

I nie skończył go właśnie.

Drugiego dnia kazał mi Perec pójść do „Hazomiru" odwiedzić bezdomnych.

— Nie sa oni ciekawi — powiedział ze smutkiem — ot, zwykli biedni Żydzi, którzy chcą jeść i proszą o jałmużnę. Godny uwagi jest tylko człowiek, który się im całkowicie poświęcił, L—E. Niezwykły typ, przyjrzyj mu się. Ciekawe są także dzieci, do nich zwykle chodzę.

W ten to sposób przerzucał się złamany umysł Pereca od starożytnego, wiecznego „Koheleth" do żywej nadziei narodu — dzieci, i tworzył sny o uratowaniu ludzkości od ognia piekielnego. Możliwe jest, że potężny umysł tego wielkiego człowieka, znalazł odpowiedź na straszny problemat żydowskiego życia i pozbył się niepewności, lecz chore, osłabione serce nie wytrzymało.

I Perec nas opuścił.

Pozostawił wielki, nieśmiertelny spadek. Lecz najpiękniejszy, najszlachetniejszy poemat — Pereca samego — straciliśmy bezpowrotnie.

STER MŁODYCH

„Zanurz się w proch, zagrzeb się w skałach, przebywaj pod sklepieniem ziemi, ale nie szukaj łaski u nikczemnika; jego imię jest złą wróżbą, złość jego żywiołem."

(„Mibchar Peninim" — Ibn Gabirol)

PESACH W EJN-CHAROD

(REPORTAŻ ŚWIĄTECZNY)

Jeśli jesteś zuchem i masz kilka piastrów w kieszeni, radzę ci, wstań, leniwcze, wcześniej w Erew-Pesach i pojedź do Ejn-Charod. Z pewnością nie pozałujesz tego! Powiadasz, że nie masz tam znajomych?

Ani przyjaciela, ani — krewnych? To nie ma znaczenia. Wszak w tym dniu zejdą się tam krewni i nie-krewni, znajomi, nieznajomi, towarzysze i towarzyszki, poprostu bachurim i bachurot, jak ty i ja. Ze wszystkich zakątków kraju przyjdą jedni pieszo, drudzy wierzchem, a jeszcze inni autem lub pociągiem — będziesz więc i ty wśród przybywających. Jeżeli się poczujesz po przyjeździe samotny, pospaceruj po farmach. Zobaczysz wówczas oborę, kurnik, nowy traktor, obejrzysz nowe budynki, albo wejdziesz na taras jadalni i stamtąd popatrzysz na dolinę... A teraz bądź przekonany, że nie jesteś już samotnym. Za chwilę dojdzie do ciebie któryś z członków komitetu przyjęcia i zapyta cię: „Towarzyszu, czy masz już aby gdzie przenocować?" Zanim zdążysz odpowiedzić na to pytanie, już masz zaproszenie na nocleg. Rozumie się, że nie masz obowiązku zaraz kłaść się spać, o nie!

Patrz — przygotowania w całej pełni: szorują, myją, prasują. Spójrz dookoła: ci oto ludzie, tak bardzo w ciągu całego roku zajęci i zatroskani — „podwórzowi", skarbnicy, sekretarze dziś nagle się zmienili, stali się geometrami inżynierami, budowniczymi. Ty towarzyszu furmanie, sprowadź wóz zielonych gałęzi, a ty, towarzyszu szoferze, sprowadź swoim autem belki i deski — będą z tego ławki i stoły. Jeszcze kilka ławek! Nie żałować desek ani belek! Będzie więcej miejsca dla gości... A w kuchni? Nie pytaj się lepiej, przyjacielu! W kuchni szykują już sto dodatkowych porcyj... dwieście porcyj... trzysta... Słowem nie licz, nie ma na to czasu — „dzień krótki a pracy sporo"!

Jesteś oszołomiony. Dziwisz się zapewnie, czemu to nikt z czeredy malców nie czepia się auto?

Wejdź do domów dziecięcych, a przekonasz się jak bardzo dzieci są tam zajęte. Muszą dopomagać starszym pokoje ozdabiać, odzież i buty czyścić no i najważniejsze... nauczyć się płynnie recytować **ARBA KASZOT.**

A tam w kącie zeszli się wszyscy „wielcy pokolenia" i mędrcy, marszczą czoła i myślą. Czemu tak, przyjaciele, wciąż medytujecie? Czy nie ma nieurodzaju w tym roku? czy „źródło uciekło" i nie ma już wody? A czyż nie została otwarta nowa jadalnia?

Pośpieszcie się, wszak macie postanowić, kto będzie „najmłodszy" — kto będzie zadawał cztery pytania, a kto ośmieli się wejść na ławkę gdy wszyscy biesiadnicy — dorośli i mali będą siedzieli dookoła stołu i zapytają: **„CZEM RÓŻNI SIĘ TA NOC OD WSZYSTKICH INNYCH NOCY?...."**

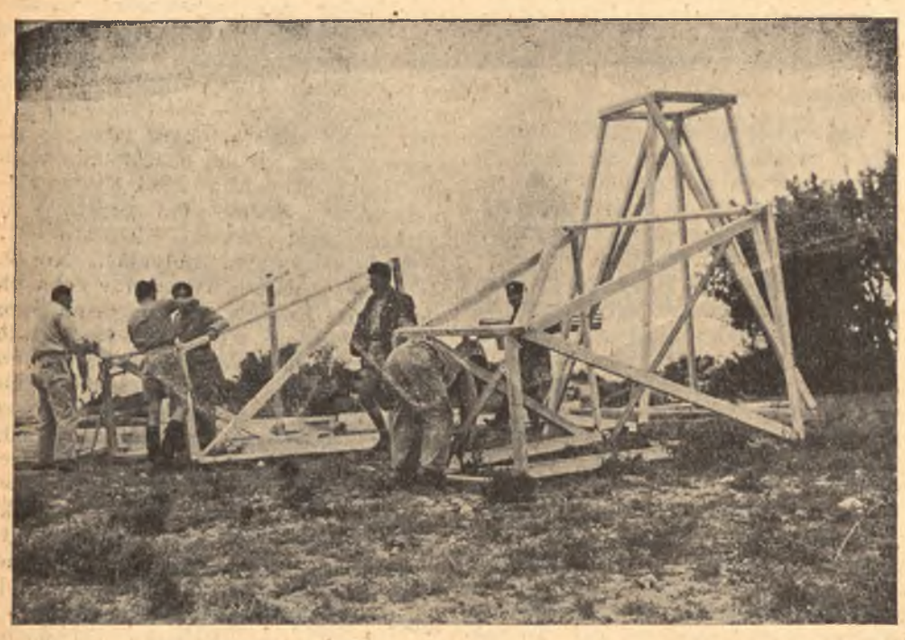
A wówczas stanie najstarszy z towarzyszy i zwracając się do stołów, zajętych przez młodzież zacznie odpowiadać: **„NIEWOLNIKAMI BYLIŚMY U FARAONA..."** A potem już opowiadaniu z tego, co się teraz dzieje. Więc o błotach, malarii, napadach arabskich. Opowiadania o bohaterskich szomrach poległych w obronie Iszuwu. Opowiadania o namiotach — — — i jeszcze raz opowiadania... A wy, towarzysze, będziecie słuchali tych pięknych opowiadań: o tym co było a co się dzieje te raz.

Ale nie uprzedzajmy faktów. Ściemnia się. Na niebie ukazują się gwiazdy. Wieje chłodny wietrzyk. Słychać dźwięki dzwonków. Zewsząd schodzą się odświętnie ubrani ludzie. Dokąd tak śpieszą z radosną pieśnią na ustach?

Do domów dziecięcych. Słychać piękny śpiew. Tu deklamują. Tam opowiadają sobie różne ciekawe historie. Zdaleka widać gromadkę młodzieży. Cóż ona zamierza teraz uczynić? Szykują pochód. Za chwilę będą nieśli w rękach dopiero co zżęte snopki zboża. Idą do obozu starszych. Złożą wszystkie snopki w jeden wielki bróg. Stanie chłopiec i powie, że z dalekiej drogi wraca, zwiedził pola i pardesy, a oto od nich przynosi pozdrowienia. Robi się coraz weselej. Już młodzież tańczy. Biegają porządkowi i wzywają gości do stołów świątecznych. Jest wino, jest maca. Będzie jadła i napojów dla wszystkich. To nic, że seder odbędzie się w dwóch kolejkach. Inaczej być nie może.

Podczas gdy wy będziecie jedli, my nie będziemy próżnowali. Zrobimy koło i zatańczymy horę. Prędzej, chłopcy i i dziewczęta, nie marudzić! Czyście nie słyszeli? A teraz uformujemy pochód, długi pochód, a będą w nim dorośli i dzieci, tutejsi i goście. Prędzej ustawić się, a i wy czego patrzycie na nas, przyłączcie się do nas....

PIERWSZE ROBOTY BUDOWLANE



Okupacja Chanuty 22.III 38., finansowana przez Keren-Hajesod na ziemiach Keren Kajemeth - Leisrael

R. Liliental

NARODZINY MOJŻESZA

W ŚWIETLE LEGENDY ŻYDOWSKIEJ

Legenda o Mojżeszu posiadają punkt oparcia w Biblii, lecz, gdy Pięcioksiąg daje nam jakby szkielet jego osoby, te przystrajając go w liczne szczegóły biograficzne, czynią z Mojżesza postać żywą i skończoną.

Źródłem owych legend są TALMUD BABILOŃSKI I JEROZOLIMSKI.

A chociaż Mojżesz, stał się wcieleniem ideału narodowego Żydów, cześć dla niego nie przekracza pewnych granic i przy całej swej nadziemskiej potędze i wielkości, nie przestaje być Mojżesz w oczach Żydów CZŁOWIEKIEM, który potrafi grzeszyć, jak zresztą niesie podanie.

A OTO FRAGMENT Z DZIEJÓW TWÓRCY PRAWODAWSTWA ŻYDOWSKIEGO:

Żył w Egipcie mąż bogobojny imieniem Amram, syn Kehata z pokolenia Lewi, które wyróżniało się z pośród innych duchem bojaźni bożej. Amram prześcigał wszystkich w miłości do Stwórcy, a skromny i łagodnym w wielkim był poszanowaniu u swych współbraci. Pojął on za żonę Jochebedę, córkę Lewiego, brata swego, a ta po roku urodziła mu córkę Miriam, zaś w dwa lata później — syna Aarona.

W tym czasie przyśni. się Faraonowi*) osobliwy sen, który poważne za sobą pociągnął następstwa a przede wszystkim odbił się na losach Amrama.

Oto śniło się Faraonowi, że stanął przed nim starzec, który trzymając w ręce wagę, na jednej szali położył związanych dygnitarzy Egiptu, na drugiej zaś jedno tylko jagnię i jagnię to przeważyło. Zatrwożony Faraon zwołał wszystkich mędrców i wróżbitów, aby mu sen ten wyłożyli. I oto jeden z nich Bileam, syn Beora, tak powiedział: „Wielką klęskę zapowiada sen twój, królu i panie albowiem narodzi się w Izraelu chłopię, które aby lud swój wyzwolić, cały Egipt opustoszy. Lecz jest na to sposób: każ uśmiercić każdego izraelskiego noworodka płci męskiej, a sen twój się nie spełni".

Spodobała się ta rada królowi i książętom, poczem przywoławszy położniczki iberejskie Jochebedę i Miriam zalecił im Faraon baczyć, aby jeśli się urodzi chłopiec, zabijały go niezwłocznie.

*) „Faraon" uchodziło u ludu za imię domniemanego monarchy egipskiego.

Nie posłuchały przeciez Jochobet i Miriam rozkazu monarchy i z większą jeszcze gorliwością pielęgnowały niemowlęta żydowskie tłumacząc się przed królem, że niewiasty izraelskie nie są jako Egipcjanki i rodzą zanim położna przyjść nadąży. Na to Faraon zwrócił się ponownie do swych doradców i znów znalazły posłuch słowa Bileama, który rzekł:

„Prawdą jest, panie, że Izrael potężnego ma obrońcę w swym Bogu i stąd ciężko jest mu podołać, bo jeśli zechcesz w ogniu go spalić, wyjdzie cało jako Abraham. Od miecza ujdzie jak Izaak, a nadmierna praca go nie zmoże jako Jakuba u Labana. Lecz z WODY żaden jeszcze z synów Izraela nie ocalał, przeto rozkaż, panie, każde nowonarodzone chłopię izraelskie wrzucić do Nilu.

* * *

Dnia siódmego, miesiąca dwunastego, to jest w Adar powiła Jochebed syna, a w chwili, gdy przyszedł na świat, dom cały napełnił się jasnością.

A dziecię miało oblicze anioła i znak przymierza na ciele. Odrazu chodziło i odrazu mówiło do ojca i matki.

* * *

Przez trzy tygodnie w komnacie podziemnej ukrywała Jochebed cudowne swe dziecię, lecz gdy rzecz doszła do uszu Faraona i groza bliskiego niebezpieczeństwa zawisła nad maleństwem, ułożyła je w kobałce z trzciny, którą wylepiła smołą i puściła na wodę. Na straży pozostała Miriam, aby baczyć, co się stanie z bratem. W owej chwili — a działo się to szóstego dnia miesiąca Sywan — otoczyli aniołowie tron boży wołając:

„Panie wszechświata, nie dajże ginąć temu, komu w dniu owym, wedle słów Twoich miała być w przyszłości wręczona Tora Święta"!

I wysłuchał ich Święty błogosławiony On.

* * *

W dniu onym był straszliwy upał w Egipcie i szli mieszkańcy tej ziemi po ochłodę do Nilu i poszła też kąpać się córa Faraona wraz ze służebnymi swymi. Zobaczywszy koszyczek na powierzchni wody królewna domyśliła się prawdy i poleciła służebnym, aby go jej podały, lecz gdy te pomne rozkazu monarchy, nie chciały ocalić dzieciny izraelskiej, córa królewska sama sięgnęła po kobiałkę. Chciała zabrać dziecię, gdy przyszedł jej na pamięć srogi rozkaz ojcowski i już miała zostawić maleństwo własnemu losowi, gdy naraz zaczęło ono płakać i wzbudziło litość w jej sercu.

Batia t. j. „Córa boża" kazała przywołać karmicielkę Egipcjankę, lecz dziecię ani u tej, ani u innej ssać nie chciało. Wówczas przystąpiła do królewny Miriam proponując karmicielkę — Ibrejkę, a gdy Batia wyraziła swą zgodą na to, Miriam sprowadziła matkę. Dziecię wzięło odrazu pierś pożądaną, co widząc Batia rzekła do Jochebed: „Karmić będziesz to chłopię przez lat dwa, za co płacić ci będę po dwa srebrniki dziennie, poczem przywiedziesz je do pałacu i będzie mi synem..."

— — — — — — —

Tak narodził się Ten, któremu imię Mosze dano, bo z wody został wyciągnięty.

Był to przyszły twórca religii i prawodawstwa żydowskiego.

F U T E R A Ł

(HUMORESKA)

Już ósmy dzień „waletował"*) Henryk w Domu Akademickim. Właściwie niewiele brakowało mu na opłacenie komornego. Dostał jeszcze jedną „korkę" za 15 złotych. Byłoby mu to może starczyło, ale podczas pamiętnej blokady złapali go narodowcy. Tarmosili go i okładali kastetami tak, że potem musiał przeleżeć dwa tygodnie w szpitalu. Wtedy to stracił lekcjeno i mieszkanie. Odtąd zrobiło się znacznie gorzej. Przed tym miał jeszcze i możliwy kapelusz. Teraz to wszystko się na nim zniszczyło. Wyglądał więc nieszczególnie.

To jednak nie wpłynęło na zmianę uczuć Beli, córki krawca Domu Akademickiego. Bela w dalszym -ciągu czuła sympatię do Henryka. A wszystko to zaczęło się jeszcze, gdy mieszkał „legalnie" w Domu, jako pełnoprawny mieszkaniec rzeczypospolitej akademickiej.

Przyszedł sobie raz wyprasować do krawca spodnie i zastał piękną Belę przy balii, z bielizną. Zawstydziła się. — Ja wolę dziewczynę przy balii, niż przed lustrem — powiedział Henryk, chcąc uspokoić zawstydzoną Belę. I właściwie tymi słowami zjednał sobie jej sympatię.

Odtąd stał się dla niej Henryk drugim światem, światem ukrytym, o którym nikomu nic nie mówiła nawet własnemu bratu. Obserwowała Henryka codziennie, gdy schodził ze schodów i napisała do niego anominowy list, w którym wyjawiła swe gorące uczucie.

Henryk przypuszczał, że jest to kawał jakiegoś kolegi, gdyż z Belą poważnie na ten temat nigdy nie mówił.

— — — — — — —

Gdy się teraz pojawił w Domu jako „walet", pierwsza jego ujrzała Bela. Codziennie o godzinie siódmej wieczorem zaczęła wypatrywać przez okno, czy nie nadchodzi. Rzeczywiście o tej godzinie ukazywał się Henryk. Wyglądał jednak inaczej niż dawniej. Nosił na sobie wiatrówkę, beret zamiast kapelusza i buciki z mocno wytartymi zelówkami. Spojrzenie miał smutne i zatroskane. W ręku niósł futerał z napisem „Antonius Stradivarius Cremonensis." Szedł skulony, a właściwie przemykał się ukradkiem, szybko pędząc na czwarte piętro. Nie chciał, by go, broń Boże, zobaczył Janek, dozorca Domu Akademickiego.

Bela go wówczas jeszcze więcej polubiła. Widziała w nim ucieleśnienie jednego z jej bohaterów powieściowych. Był innym w jej oczach od reszty zmaterializowanych i zepsutych — jej zdaniem — studentów.

Śledziła więc każdy jego krok, każdy jego ruch. Miała wiele sentymentu dla muzyki, która tak mogła uszlachetnić człowieka, odrywając go od przyziemnych spraw.

Przez całe siedem dni tygodnia wahała się, czy mu wyjawić swe gorące uczucie, czy przynajmniej powiedzieć, co czuje... Ale bała się. A nuż okaże się jak inni: cyniczny, zepsuty.

Jednak, to niemożliwe: Henryk to muzyk — marzyciel. Trzeba mu wszystko powiedzieć! Nie wolno niczego zataić.

— — — — — — —

Dziś oczekiwała go z jeszcze większą niecierpliwością. Mała skazówka zegarowa znalazła się na siódemce: Henryk nie zjawił się. Bela zwątpiła, czy przyjdzie, lecz w tej chwili rozległy się znajome kroki na korytarzu: to on. Zastąpiła mu drogę. Zaczęła nerwowo i bezładnie mówić: — Ja Pana..... ja ciebie.... kocham. Ty jesteś muzykiem — marzycielem taki inny od wszystkich... ja o tobie myśleć nie przestanę....

Henryk osłupiał, zbladł, z reki wypadł mu futerał. Otworzył się, a z niego wypadły.... szczoteczka do zębów, pasta do obuwia, szczotka do garderoby i wiele innych drobiazgów...

OSKAR REISS

*) „waletować" — w gwarze akademickiej tyle co „dekować się" w gwarze wojskowej.

M. Kramarski

Jak powstaje książka

Gdy już poznałeś, Czytelniku, jak powstaje gazeta codzienna, nie od rzeczy będzie, kiedy zapoznamy z kolei Cię jak POWSTAJE KSIĄŻKA. Bo proszę sobie pomyśleć. „Książka —to najwierniejszy przyjaciel". „Bez książki nie ma wiedzy" i t. d. Takie oto hasła słyszysz na każdym kroku.

Biorąc do ręki nową książkę i rozcinając nożem stronice pachnące klajstrem i farbą drukarską, nie zdajemy sobie sprawy ile zachodów i trudu kosztuje wydanie takiej książki.

Interesuje nas przede wszystkim treść, autor, bohaterowie. Rzadko jednak zastanawiamy się nad powstawaniem tego pięknego utworu zwanym KSIĄŻKĄ.

A więc posłuchajcie, Młodzi Przyjaciele, jakto powstaje książka, bez której nie możemy sobie wyobrazić życia kulturalnego człowieka.

Książki znane były już we wczesnym średniowieczu. Były to dzieła o treści religijnej, przepisywane ręcznie „od deski do deski" na pergaminie. Oczywiście, ani drogi pergamin, ani niemniej drogie przepisywanie, nie mogły się przyczynić do rozpowszechnienia książek. Dopiero wynalazek papieru na początku wieku XIV i druku w w. XV stworzyły możliwości ku temu. Pierwszą książką drukowaną była **Biblia,** która wyszła z drukarni Guttenberga i jego wspólników w **1455.** Od tego czasu książki rozpowszechniały się po całej Europie, umożliwiając wysoki rozwój literatury i nauki.

Tekst książek w czasach ostatnich składany jest naogół na linotypach, jedynie dzieła droższe, a szczególnie naukowe, składane są ręcznie. Złożone wiersze tworzą całe stronnice, które, po zrobieniu z nich korekty i poprawieniu ewentualnych błędów, zostają ujęte w specjalne ramy z przyciskającymi klamrami. Każda rama zawiera 8 stron książki, ułożonych w pewnym porządku.

W tym miejscu wyczuwam, że Czytelnik wzruszy ramionami: „No, przecież to tak samo, jak z gazetą; co tu nowego?" Ale proszę o chwileczkę cierpliwości, różnica zaraz się znajdzie.

Jeśli ktoś dobrze się przyjrzy książce zauważy, że składa się ona z oddzielnych zeszytów po 16 stron. Każdy taki zeszyt powstaje z dużego arkusza, złożonego trzy razy (Czytelnik łatwo to może sprawdzić na skrawku papieru). I w tym punkcie dchodzimy do sedna rzeczy. Otóż gazetę, o ile chodzi Czytelnik sobie przypomina, drukuje się na **maszynie rotacyjnej,** książkę zaś — na **płaskiej.** Jak sama nazwa wskazuje, złożony tekst tworzy powierzchnię płaską, nie zaś półokrągłą, jak przy druku rotacyjnym. Unikamy przez to odciskania tekstu na papierowych matrycach i ponownego odlewania płyt pół-okrągłych, lecz krzystamy bezpośrednio z ujętych w ramę stronic. Druga różnica polega na tym, że maszyna płaska nie imię Boże. Maszyna pokrywa tekst farwięc korzystać z gotowych, przyciętych arkuszy. Stawiamy na maszynę ramę z tekstem, nakładamy w specjalnym miejscu paczkę arkuszy i... dalej w imię Bże. Maszyna pokrywa tekst farbą drukarską, sama przysuwa jeden arkusz za drugim, odbijając na nich treść 8-miu stron i odsuwając je na bok. Następnie powtarzamy tę samą czynność po raz drugi, otrzymując po odwrotnej stronie każdego arkusza odbitke drugich 8-miu stron książki. Specjalna maszyna zgina papier na 8 części, czyli każdy arkusz zeszyt o 16 stronicach druku. Takich zeszytów drukujemy tyle ile egzemplarzy danej książki chcemy wydać. Gdy w ten sposób pokolei otrzymamy w zeszytach tekst całej książki — oddajemy je do introligatora, który ręcznie lub na maszynie, złącza je w jedną całość. Książka jest już wtedy gotowa i wędruje na półki księgarskie.

Na zakończenie powiem jeszcze kilka słów o druku dwu-lub wielo-barwnym Sprawa najlepiej wyjaśni się na przykładzie. Załóżmy, że chcemy mieć odbitkę kwadratu, podzielonego przekątną na 2 trókąty. Jeden z nich ma ma być czerwony, drugi niebieski. W tym celu przygotowujemy sobie 2 klisze — z dwoma trójkątami. Jedną pokrywamy farbą czerwoną i odbijamy czerwony trójkąt na papierze, drugą pokrywamy farbą niebieską i odbijamy trójkąt na tym samym papierze. W rezultacie otrzymunjemy żądany czerwono-niebieski kwadrat. Gdybyśmy chcieli otrzymać druk np. 4 - barwny, musielibyśmy przygotować 4 klisze, każdą z nich pokryć odpowiednią farbą i pokolei odbijać na tym samym papierze. Technika druków wielobarwnych stoi dziś bardzo wysoko. Najlepiej m. inn. o tym świadczą rozpowszechnione ostatnio barwne programy kinowe. na których dość często z 3 tylko kolorów zasadniczych otrzymujemy piękne ryciny, zachwycające bogactwem barw i odcieni.

Prenumerata: kwartalnie 3 zł.; półrocznie 6 zł. Na stronę pierwszą ogłoszeń nie przyjmuje się.
Ceny ogłoszeń: za m/m za tekstem 80 groszy., w tekście 1 zł Strona zawiera 5 szpalt. Red. odp.: A KLARMAN

Redaktor Dr. M. KLEINBAUM Wydawca: TOW. WYD. „STER" sp. z o. o. Składano „Wukagraf" Solna 17 Tel. 11-63-24 Druk. „GRAFIA" W-wa, Nowolipki 7.